



**PAMIĘĆ. POJEDNANIE.
PRAWDA**
Konstanty Czawaga
Wojciech Jankowski
s. 8



**Nowe publikacje
Biblioteki Kuriera
Galicyjskiego**
s. 24



Dominikanie (cz. II)
Dmytro Antoniuk
s. 28

ISSN 1996-2304



9 771996 230009

Spadek i wizja

450 lat temu powstało jedno z najpotężniejszych państw ówczesnej Europy – Rzeczpospolita Obojga Narodów. Zawarta 1 lipca 1569 roku w Lublinie unia Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego stanowiła o utworzeniu federacji złożonej z dwóch równoprawnych członków.



MIROSLAW ROWICKI

Oba państwa razem, drogą wspólnej elekcji, wybierały jednego władcę, miały jednolity system monetarny i prawny, powołały wspólny Sejm i Senat oraz prowadziły wspólną politykę obronną i zagraniczną. Zachowały jednak odrębne urzędy centralne, języki: polski i ruski, a także wojsko.

Rzeczpospolita Obojga Narodów zajmowała obszar 780 tys. km², liczyła przy tym ponad 6 milionów mieszkańców.

Tworzenie wspólnego państwa nie było jednak procesem prostym ani łatwym. Ucieranie się myśli państwowej, która doprowadziła do zawarcia unii trwało prawie dwieście lat. Było poprzedzone zawarciem szeregu kompromisów, które doprowadziły najpierw do unii personalnej, czyli połączenia obydwu państw jedynie

osobą wspólnego władcy. O tym jak trudny był punkt startu niech zaświadczy artykuł unii w Krewie z 1385 roku zobowiązujący Jagiełłę, jako jeden z warunków małżeństwa z Jadwigą, dać wolność Polakom wziętym w niewolę i przebywającym na Litwie.

Historia Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego naznaczona bowiem była do tego czasu licznymi wojnami i łupieżczymi wyprawami. Wspólny interes jednak przeważał. Interes zabezpieczenia sobie przede wszystkim bezpieczeństwa.

Trzeba przy tym mieć na względzie, że ówczesne pojęcie narodu było wówczas zupełnie inne. Rzeczpospolita Obojga Narodów stała się domem narodu szlacheckiego Korony (szlachty polskiej i ruskiej) oraz narodu szlacheckiego Wielkiego Księstwa Litewskiego (szlachty litewskiej i ruskiej), tak bowiem po-

jęcie narodu było wtedy rozumiane. Naród ten stanowił ok. 10% ludności, co w ówczesnej Europie, gdzie liczba ta dosięgała zaledwie 1%, było ewenementem. W momencie powstania był to zarazem organizm najbardziej demokratyczny na całym kontynencie. Dopóki był w stanie zachować swoją siłę i zdolność do samonaprawy był potęgą. Także dopóki działała świadomość wizji, która go stworzyła. Gdy ją stracił, upadł rozszarpany przez sąsiadów, targany wewnętrznymi konfliktami.

Spuścizna jego jednak nie zginęła, choć państwa zaborcze, tworzące na jej gruzach nowy ład, bardzo się o to starały. Jej kotwicą była bowiem szeroko rozumiana kultura stworzona wspólnie przez kilkadziesiąt lat, także kultura polityczna. Nasi przodkowie razem budowali zamki i pałace, młyny i gorzelnie, spławiali zboże, razem

chadzali na Moskwę, bronili się przed Turkami i Tatarami. Zawierali przeróżne sojusze, wreszcie zdradzali się wzajemnie. Kochali się i mordowali. Nigdy nie byli sobie obojętni.

Dzisiejsi spadkobiercy dawnej Rzeczpospolitej Obojga Narodów to: Polska, Ukraina, Białoruś i Litwa. Państwa te, a przede wszystkim ich społeczeństwa, w bardzo różnym stopniu poczuwają się do tego spadku. Mówi się przecież, że nic dwa razy się nie zdarza. Tak, to bardzo trudne.

Ale można przecież i trzeba mieć nową wizję, plan uwzględniający aktualną sytuację geopolityczną. Wizję silnego regionu w sojuszniczej Europie. Gdy bowiem nie będziemy silni, nawet wśród sojuszników stanowić będziemy jedynie peryferie naszego kontynentu. Co realistom różnej maści, a i wizjonerom szczerze polecam.

Rafał Wolski zakończył misję dyplomatyczną na Ukrainie

KONSTANTY CZAWAGA

Wieczorem 4 lipca w Konsulacie Generalnym RP we Lwowie odbyło się przyjęcie z okazji zakończenia misji dyplomatycznej przez konsula generalnego Rafała Wolskiego.

Rafał Wolski spędził na Ukrainie 9 lat. Był konsulem generalnym w Kijowie, a następnie pracował w Ambasadzie RP, gdzie pełnił funkcję zastępcy ambasadora. Przez ostatnie dwa lata kierował polską



placówką dyplomatyczną we Lwowie.

Słowa podziękowania Rafałowi Wolskiemu złożyli: Beata Brzywczy, zastępca dyrektora departamentu konsularnego MSZ RP, Bartosz Cichocki, ambasador RP na Ukrainie, arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski, konsulowie z innych okręgów konsularnych na Ukrainie, pracownicy konsulatu RP we Lwowie oraz licznie przybyli goście.

Nie żegnamy się – mówimy tylko: DO WIDZENIA!

11. Piesza Pielgrzymka Rzeszów – Lwów

W dniach 25–30 czerwca ponad 250 osób uczestniczyło w 11. Pieszej Pielgrzymce z Rzeszowa do Lwowa pod hasłem „Miłość żyje w rodzinie”. Po przekroczeniu granicy polsko-ukraińskiej pielgrzymów przywitał arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki, który o poranku 28 czerwca przewodniczył wspólnej modlitwie w kościele w Mościskach. Natomiast na ostatnim odcinku szlaku do pątników dołączył biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej Edward Kawa, który sprawował Mszę św. w katedrze lwowskiej i wygłosił homilię.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

Po spotkaniu z pątnikami z Polski bp Kawa określił, że jego zdaniem, jest to Pielgrzymka Ogólnopolska z Rzeszowa do Lwowa. Zauważył też, że podobnie jak w czasie drogi do Jerozolimy nie wszyscy przyjmowali Jezusa i nie wszyscy byli nim zachwyceni, tak nie wszyscy stojący na chodnikach lwowskich ulic chcieli przyjąć z rąk polskich pielgrzymów obrazek z modlitwą.

– Większość była radosna, wykazywała entuzjazm, ale nie wszyscy, i to jest obraz współczesnego świata – wyjaśnił biskup Kawa. – To jest obecna rzeczywistość, w której żyjemy. To jest nasza codzienność. Dlatego takich katolików, takich wiernych dzisiaj potrzebujemy. Tych, którzy nie będą pasywnie milczeć, ale którzy z odwagą, z pasją będą mówić prawdę o Bogu, prawdę o Kościele, prawdę o tym co jest wieczne, czego wszyscy potrzebujemy, abyśmy byli szczęśliwi, abyśmy żyli pełnią życia.

– Raz puszczony w ruch „koło” pielgrzymki do Lwowa nabiera coraz większych obrotów i pewnie tego nie da się powstrzymać – powiedział dla Kuriera ks. Władysław Jagustyn, proboszcz parafii św. Krzyża w Rzeszowie i dyrektor pielgrzymki. – Bo zaczynało się od 70 osób, a w tym roku z Rzeszowa wyszło nas prawie trzysta. Niektórzy na dzień – dwa, z nich zaś 250 osób doszło do Lwowa. Przychodzimy z programem duszpasterskim, który jest też realizowany w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie: zaprosić Świętą Rodzinę do



wszystkich rodzin. Dlatego też wołamy tym zawołaniem, które pochodzi z myśli św. Matki Teresy: „Miłość żyje w rodzinie”. Przez to wezwanie modlimy się o pokój na Ukrainie, o jedność, o pokój w rodzinach, o pokój w małżeństwach, o uratowanie każdego małżeństwa, każdej rodziny, o silną wiarę dla młodzieży. Mamy nadzieję, że spotkanie z ludźmi, rozmowa w różnych językach, a nade wszystko wspólna modlitwa jest już widocznym owocem Bożej miłości, która nas umacnia, która pomaga nam podjąć krzyż, przeżyć pokutę. Jest to ekstremalna pielgrzymka, ekstremalna nasza Droga Krzyżowa, ekstremalne misje w drodze. Idziemy dzięki temu, że widzimy ludzi, którzy wiarę zachowują, całymi rodzinami wychodzą na drogę, którzy chcą nam towarzyszyć,

blogosławią i, rzecz przedziwna, tak ufają, że przekazują nam prośby w wielorakich intencjach i równocześnie zapraszają na przyszłość – zaznaczył ks. Władysław Jagustyn.

– Szedłem już siódmy raz z Rzeszowa do Lwowa – dodał Józef Pytko z Rzeszowa. – Nie da się opisać tego przeżycia. Po prostu trzeba przejść, pomimo trudów, skwaru. Raz deszcz, raz upał, ale naprawdę nie zamieniłbym tego za najlepszy urlop. Jeżeli chodzi o przyjęcie na Ukrainie, to jesteśmy pełni podziwu i zachwytu. To, jak mówi staropolski obyczaj: „gość w dom, Bóg w dom”. To jest piękna sprawa. Bóg zapłać wszystkim, którzy nas przyjmują, pozdrawiają po drodze. Niesamowite przeżycie.

W Hodowicy koło Lwowa pielgrzymów uroczysto przywitali katoli-

cy dwóch obrządków, Polacy i Ukraińcy. Po wspólnej modlitwie w cerkwi greckokatolickiej wszyscy przyszedli pod kościół, gdzie odbyło się spotkanie z mieszkańcami wsi. Ks. Aleksander Kusyj, który dojeżdża tu z katedry lwowskiej, przywitał pielgrzymów i dokonał z księżmi katolickimi dwóch obrządków poświęcenia odnowionego krzyża misyjnego. Młodzież i dzieci przygotowały koncert dla pielgrzymów, a dorośli poczęstowali pątników z Polski. Potem zaprosili na nocleg do swoich domów.

– Osiem lat temu zwrócił się do mnie ksiądz z Nawarii i poprosił, abyśmy przyjęli pieszą pielgrzymkę z Rzeszowa do Lwowa – wyjaśniła dla Kuriera Natalia Spodaryk, mieszkanka Hodowicy, Polka. – Byłam trochę zaskoczona ponie-

waż nas, rzymskich katolików, jest bardzo mało we wsi, ale, z drugiej strony, podjęłam taką decyzję, że jeżeli jest wezwanie, to muszę w jakiś sposób na nie odpowiedzieć. Dołączyli do nas też grekokatolicy. Przyszło 90 osób. Wszystkich pielgrzymów przyjęliśmy, nakarmiliśmy, rozmieściliśmy. Oni zadowoleni poszli dalej. I tak co roku przychodzą do nas. To był też impuls dla nas, ponieważ pielgrzymi przychodzili do kościoła, który był zaniedbany, porośnięty krzakami, no i było nam naturalnie wstyd. W 2015 roku uporządkowaliśmy kościół, a od zeszłego roku odprawiamy już tam Msze święte. Cieszymy się, radujemy się, że przyjmujemy pielgrzymów z Polski. Jestem bardzo wdzięczna naszym mieszkańcom, większość z nich to są grekokatolicy Ukraińcy.

– Dla nas wszystkich jest to możliwość zaświadczyć o jedności – powiedział ks. Jurij Cehelskyj, proboszcz greckokatolickiej parafii w Hodowicy. – O jedności jako dzieci jednego Kościoła katolickiego przede wszystkim w modlitwie, również jako świadectwo bliskości naszych narodów. Musimy budować nasze relacje od nowa, od czystej kartki, na prawdziwej miłości, poszukiwać tego, co możemy robić wspólnie, aby służyć Panu Bogu, naszemu narodowi, ukraińskiemu i polskiemu, przyczynić się do tego, abyśmy wszyscy razem doszli do Królestwa Bożego.

Po Mszy św. w katedrze lwowskiej pielgrzymi, którzy dojechali autokarami z Rzeszowa do Lwowa, odwiedzili też Cmentarz Łyczakowski, gdzie odprawili Drogę Krzyżową.

25-lecie kościoła w Strzelczyskach

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

28 czerwca w polskiej wsi Strzelczyska koło Mościsk obchodzono 25-lecie kościoła parafialnego pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa i Niepokalanego Serca Maryi. Licznych gości przywitał ks. Jan Tymań. Uroczystości odpustowej przewodniczył arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki.

– Cieszę się bardzo, że dzisiaj, w uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa, mogłem obchodzić z parafianami w Strzelczyskach jubileusz 25-lecia tego pięknego nowego kościoła – powiedział dla Kuriera arcybiskup Mieczysław Mokrzycki. – Jest to w naszej archidiecezji, można powiedzieć, wyjątkowa parafia. Jest to parafia, jak niektórzy mówią, czysto polska, liturgia jest odprawiana tylko w języku polskim. W tej parafii zrodziło bardzo wiele powołań do



życia kapłańskiego i zakonnego. Mieszkają tu ludzie prości, a ponieważ jest to wioska polska, nie mają nawet drogi. Przez wiele lat ludzie stąd chodzili pieszo, około 5 kilometrów, do kościoła w Mościskach. I właśnie ta prosta wiara i tradycje ludowe przetrwały w sercach tych wiernych. Zbierali się przy figurach świętych i kapliczkach przydrożnych

na nabożeństwa majowe i czerwcowe, śpiewali też razem Gorzkie Żale czy odmawiali różaniec. Wierzę, że modlitwa tego ludu wzbudziła w sercach wielu młodych ludzi pragnienie służenia Bogu. To zależy także od rodzin. Bo jeśli w rodzinach jest zdrowa atmosfera, jeśli mówi się tam o Panu Bogu, jeśli kapłani i zakonników przestrzega się jako kogoś ważnego w

życiu codziennym, to wzbudza entuzjazm i odwagę w sercach, by pójść za głosem powołania. Ale z tej parafii pochodzi także wiele osób świeckich, które są bardzo zaangażowane w życie Kościoła i posługują w różnych miejscach, m.in. w naszym seminarium. Są też siostry, które pracują w Kurii, w domu biskupim, a także na terenie całej metropolii, na terenie całej Ukrainy.

Franciszek Kuc, który pochodzi ze Strzelczysk, wspomina, że po upadku Związku Radzieckiego nie było kościoła nie tylko w tej wsi. – Dookoła były pozamykane kościoły, tylko jeden był czynny, w Mościskach – powiedział. – Gdy przyszła wolność i powstała Ukraina, zaczęliśmy budować kościoły. Ks. Józef Legowicz przywiózł dwa projekty. Jeden kościół został zbudowany w Krukienicach, drugi w Strzelczyskach. Swoimi siłami budowaliśmy. Było ciężko. Przybył do nas z Polski ks. Andrzej Rams, który pokochał naszą wioskę. Zapewnił, że z Bożą pomocą zbudujemy ko-

ściół. W Strzelczyskach nie było też cmentarza.

– W tamtych czasach, w latach 70., ta wioska była zaliczona do tak zwanych „nieperspektywnych”, to znaczy bez przyszłości – powiedział Eugeniusz Dorosz, wójt wsi Lipniki. – Tu nie dawano ludziom planów na zabudowę. W Mościskach jest nawet dzielnica, którą nazywają Drugie Strzelczyska. Z czasem to wszystko się zmieniło. Po wzniesieniu kościoła w Strzelczyskach wybudowano też szkołę, i ta wioska zaczęła się powolutku rozwijać. Teraz będziemy robić oświetlenie ulicy. Głównym problemem jest brak drogi do Strzelczysk, ale myślę, że z czasem i do drogi dojdziemy. Jestem wójtem 20 lat. W Lipnikach połowa mieszkańców to Polacy, druga połowa to Ukraińcy. Strzelczyska to 100-procentowa polska wioska. Szkoła z polskim językiem nauczania. Nie ma tu konfliktów między Polakami a Ukraińcami, żadnych. Każdy rozmawia w dwóch językach. Polacy w domu rozmawiają po polsku, w pracy po ukraińsku.

PAMIĘĆ. POJEDNANIE. PRAWDA

Obchody 76. rocznicy Rzezi na Wołyniu

W dniach 13–14 lipca w obwodzie rówieńskim i wołyńskim oddano hołd Polakom, ofiarom tragicznych wydarzeń na tej ziemi w roku 1943.

W obchodach uczestniczyli: duchowieństwo, miejscowi Polacy, delegacja władz RP oraz przedstawiciele lokalnych władz ukraińskich.

**KONSTANTY CZAWAGA,
WOJCIECH JANKOWSKI**
tekst
KONSTANTY CZAWAGA
zdjęcia

w Kuźmiwce i w Łucku

Obchody rozpoczęto w sobotę, 13 lipca, w Kuźmiwce (dawnej Kazimierce), gdzie na resztkach kościoła biskup łucki Witalij Skomarowski, ordynariusz diecezji łuckiej sprawował mszę św. w intencji Polaków pomordowanych 76 lat temu. Zaprezentowano tam też kopię obrazu Matki Boskiej Kazimierzeckiej – patronki Wołynia. Kilka lat temu został on zrekonstruowany dzięki inicjatywie Fundacji Dziedzictwa Kulturowego, która od 2013 roku zajmuje się restauracją kolegiaty w Olyce. Podczas Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 roku poświęcił go papież Franciszek. Obraz Matki Boskiej Kazimierzeckiej przewieziono do katedry Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku. Następnie zostanie przekazany do sanktuarium maryjnego, które w przyszłości zostanie erygowane w Olyce.

W niedzielę, 14 lipca, mszy św. w intencji ofiar Zbrodni Wołyńskiej w katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku przewodniczył ks. biskup Witalij Skomarowski, ordynariusz diecezji łuckiej.

– W żalu i modlitwie polecamy Bogu ofiary tamtych zbrodni. Zwłaszcza módlmy się za ofiary zbrodni popełnionych przez rodaków. Ukraińcy niech modlą się za pomordowanych wtedy na Wołyniu Polaków, Polacy za pomordowanych przez siebie Ukraińców – mówił w kazaniu urodzony na Wołyniu dominikanin o. prof. Jacek Salij, który urodził się w 1942 roku w Budach na Wołyniu. – Starajmy się patrzeć na siebie nawzajem wzrokiem pojednania. Mówiąc po prostu, niech Polacy starają się lubić Ukraińców mniej więcej tak, jak samych siebie i podobnie Ukraińcy Polaków. A przynajmniej starajmy się bez niechęci myśleć jedni o drugich. Od tego czy potrafimy uznać błędy przeszłości i przebaczać sobie wzajemnie, istotnie zależy czy naprawdę chcemy uczestniczyć w budowaniu świata, w którym respektuje się życie, sprawiedliwość, zgodę i pokój – podkreślił duchowny.

We mszy św. w katedrze łuckiej uczestniczyli: wicemarszałek Sejmu RP Małgorzata Gosiewska, prezydencki minister Andrzej Dera, wiceminister spraw zagranicznych Marcin Przydacz, wiceprezes IPN Krzysztof Szwagrzyk, ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki, konsul generalny RP w Łucku Wiesław Mazur, przedstawiciele lokalnych władz



ukraińskich, reprezentanci organizacji polskich na Ukrainie oraz uczestnicy motocyklowego Rajdu Wołyńskiego, którzy podróżują po polskich miejscach pamięci narodowej w tym kraju i porządkują zapomniane polskie cmentarze.

w Janowej Dolinie

Dalej uroczystości upamiętniające ofiary zbrodni wołyńskiej, zorganizowane przez Ambasadę RP w Kijowie przeniosły się do Janowej Doliny (obecnie Bazaltowe) koło Kostopola

w obwodzie rówieńskim, pod krzyżku pamięci zamordowanych Polaków. Dzisiaj nic tam już nie przypomina o przedwojennym miasteczku, które powstało w 1928 roku jako nowoczesne osiedle dla robotników zatrudnionych w pobliskiej kopalni bazaltu. Według badań prof. Grzegorza Motyki, nocą 22/23 kwietnia (Wielki Piątek) 1943 roku zamordowano tu około 600 Polaków.

List prezydenta RP Andrzeja Dudy odczytał minister Andrzej Dera. Głos zabrali: polski ambasador

RP na Ukrainie Bartosz Cichocki, wicemarszałek Senatu RP Maria Koc, wicemarszałek Sejmu RP Małgorzata Gosiewska.

– Naszym wspólnym obowiązkiem jest praca na rzecz prawdy o pomordowanych Polakach, uznania win, a następnie przebaczenie. Bez prawdy przebaczenie jest tylko pustym słowem. (...) Musimy pamiętać o ofiarach zbrodni OUN/UPA, pozbawionych życia w imię szowinistycznej ideologii. Pamięć należy się każdemu i nie może być przedmiotem politycznego handlu – powiedział **podsekretarz stanu MSZ RP Marcin Przydacz**.

Oddając hołd pomordowanym w Janowej Dolinie **wiceprezes IPN Krzysztof Szwagrzyk** zaznaczył:

– Ich milczenie jest dla nas wołaniem... Wołaniem o prawdę i wołaniem o modlitwę, której nie słyszeli, gdy umierali.

Uczestnicy uroczystości złożyli wieńce i oddali hołd pomordowanym Polakom w Janowej Dolinie. Modlitwy żałobne poprowadzili: biskup Witalij Skomarowski oraz duchowni prawosławni.

– Obchodzimy Dni Pamięci o ofiarach ludzkiej nienawiści w czasie drugiej wojny światowej – powiedział dla Kuriera **biskup Skomarowski**. – Modlimy się razem z naszymi braćmi grekokatolikami i prawosławnymi o wieczny odpoczynek tych zmarłych, niewinnie zabitych, a także o to, żebyśmy mieli taką łaskę od Pana Boga, żeby żyć w pokoju i dobrosąsiedztwie.

Bartosz Cichocki, ambasador RP w Kijowie w rozmowie z dziennikarzami Kuriera mówił:

– Obchodziliśmy dziś na terenie Ukrainy dzień pamięci ludobójstwa, który to dzień jest świętem państwowym w Polsce obchodzonym od trzech lat i w tym roku, z udziałem

prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, miał bardzo uroczysty charakter. Tutaj, w dawnej Janowej Dolinie, zebrał się przedstawiciel wszystkich organów państwa polskiego. Wysoki szczebel tych delegacji dowodzi tego, jak ważna jest pamięć o ofiarach i jak ważna jest ona dla dzisiejszej wspólnoty polskiej, ale też polsko-ukraińskiej pamięci o tych Ukraińcach, którzy zachowali godność i przyszli z pomocą ryzykując własnym życiem. Ale także jak ważna jest odpowiedzialność sprawców, których w cywilizowanym świecie nie możemy stawiać na cokołach, o których odpowiedzialności świadczą liczne krzyże, liczne cmentarze i jeszcze liczniejsze bezimienne doły śmierci, których domagamy się prawa poszukiwać, ekshumować, gdyż mają oni prawo do godnego pochówku, do krzyża i przywrócenia imienia.

– Kiedy spotykamy się w miejscu, gdzie są pochowani kobiety, dzieci, starcy, którzy zostali zamordowani w bestialski sposób tylko dlatego, że byli Polakami, ogromny smutek pojawia się w sercu każdego z nas – powiedziała dla Kuriera **Maria Koc, wicemarszałek Senatu RP**. – Muszę jednak powiedzieć, że odczuwam nadzieję. Zostało zamordowanych przecież około sto tysięcy Polaków. Są miejsca zapomniane, nieoznakowane, gdzie leżą oni w niepoświęconej ziemi. Chociaż nie można przeprowadzić ekshumacji, nie można oddać hołdu pamięci, nie można przywrócić imion i nazwisk pomordowanym, to jest jakaś iskierka nadziei, bo na dzisiejszej uroczystości podchodziło do mnie wielu Ukraińców. Dostałam piękny wyszywany ukraiński ręcznik, w podziękowaniu za to, że przyjechałam tutaj, że jestem z Polski, że pamiętam. Dała mi ten ręcznik pani, której dom był tutaj w Janowej Dolinie. Członkowie jej rodziny też pamiętają te tragiczne wydarzenia. Ona powiedziała, że utożsamia się z naszym bólem. Podeszli do mnie też państwo Ukraińcy, którzy powiedzieli, że jest im bardzo przykro i przepraszają, że nie ma tu przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych Ukrainy, że nie ma władz wyższych szczebla samorządowego czy rządowego, że bardzo się z tego powodu wstydzą i jest im przykro. To napawa jakąś nadzieją, że zwykli ludzie rozumieją nasz ból, że to, co się stało było wielką tragedią, że nie ma dla tego wytłumaczenia ani usprawiedliwienia. I to jest nadzieją dla naszych narodów.

Swoimi refleksjami podzieliła się **wicemarszałek Sejmu RP Małgorzata Gosiewska**:

– Ludzie, którzy zostali tu zamordowani, przyjechali tutaj, żeby



Ach, co to był za ślub!

6 lipca, we lwowskiej bazylice metropolitalnej odbył się ślub Joanny Janczyk i Jana Sabadasza. Stało się już bowiem piękną tradycją, że wielu lwowiaków z młodego pokolenia mimo, iż na stałe osiedlili się w Polsce, chcą w ten sposób wrócić w swoje rodzinne strony, podkreślając skąd ich ród.

ANNA GORDIJEWSKA

Zawarcie sakramentu małżeństwa potwierdził i pobłogosławił młodej parze abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski. W swoim kazaniu hierarcha zacytował kapłana poetę: „Nie uciekaj, nie bój się miłości, nic piękniejszego chyba się w życiu nie wydarzy, miłość przynosi szczęście, z miłością człowiekowi najbardziej do twarzy”.

Mszę św. koncelebrowali: ks. prałat Jan Nikiel – proboszcz katedry lwowskiej, ks. Andrzej Cypryś – dyrektor Instytutu Teolo-

gicznego-Pastoralnego w Rzeszowie, proboszcz kościoła św. Antoniego o. Paweł Odój oraz o. Władysław Lizun. Na zakończenie mszy świętej abp Mieczysław Mokrzycki przekazał w darze nowożeńcom różańce, które na tę okazję zostały poświęcone przez papieża Franciszka.

Oprawę muzyczną mszy zapewnił chór katedry lwowskiej im. Jana Pawła II, soliści oraz kwintet jego ślubu wybrała Lwów, z którego pochodzi pan młody. Para młoda zadbała o najmniejsze szczegóły – zarówno ceremonia zaślubin, jak i dalszy przebieg uroczystości odbył się przy zachowaniu przedwojennych, polskich tradycji. Był Walc Barbary z filmu „Noce i Dnie”, jako pierwszy taniec w choreografii Kuby Makowczyńskiego, był polonez z filmu „Pan Tadeusz”, skomponowa-

ne przez Wojciecha Kilara, którymi para młoda oddała hołd swojemu wieloletniemu przyjacielowi – nieżyjącemu już polskiemu kompozytorowi muzyki poważnej i filmowej oraz pianście, urodzonemu we Lwowie.

Składając życzenia nowożeńcom, dyrektor Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie Zbigniew Chrzanowski wyznał im, że dawno nie brał udziału w tak pięknej uroczystości weselnej i z tego powodu czuje się bardzo szczęśliwy i nawet dumny. – Piękno architektury bazyliki lwowskiej, homilia ks. abpa Mokrzyckiego, jak również muzyka



Ach, co to był za ślub! I mimo woli przychodzi mi do głowy mój własny ślub sprzed 60. laty, również w katedrze lwowskiej, tylko po kryjomu,

w zakrystii, a pod drzwiami dwójka sypiących kagebistów. Takie były czasy. A u Joasi i Janka poczułem się bardzo szczęśliwy – dodał.



giczno-Pastoralnego w Rzeszowie, proboszcz kościoła św. Antoniego o. Paweł Odój oraz o. Władysław Lizun. Na zakończenie mszy świętej abp Mieczysław Mokrzycki przekazał w darze nowożeńcom różańce, które na tę okazję zostały poświęcone przez papieża Franciszka.

Oprawę muzyczną mszy zapewnił chór katedry lwowskiej im. Jana Pawła II, soliści oraz kwintet

jego ślubu wybrała Lwów, z którego pochodzi pan młody.

Para młoda zadbała o najmniejsze szczegóły – zarówno ceremonia zaślubin, jak i dalszy przebieg uroczystości odbył się przy zachowaniu przedwojennych, polskich tradycji. Był Walc Barbary z filmu „Noce i Dnie”, jako pierwszy taniec w choreografii Kuby Makowczyńskiego, był polonez z filmu „Pan Tadeusz”, skomponowa-

Bacha, Mozarta, Wagnera, a potem piękny walc z muzyką z filmu „Noce i dnie” i ten polonez, zatańczony przez wszystkich gości weselnych (z wyjątkiem osób w sutannach i habitach) z Edwardem Sosulskim w roli wodzireja, piosenki lwowskie stworzyły niepowtarzalny klimat iście lwowski i polski, a jeśli do tego dodać urodę, elegancję, wytworność pary młodej, to trzeba westchnąć:

Wolontariusze z Polski zorganizowali wakacje dla dzieci z Ukrainy

EUGENIUSZ SAŁO

tekst

KARINA WYSOCZAŃSKA

zdjęcie

W ramach „Akcji Ukraina” wolontariusze Fundacji Indywidualności Otwartej z Krakowa przeprowadzili tygodniowe rekolekcje w formie półkolonii dla dzieci polskiego pochodzenia z Pnikuta i Mościsk w obwodzie lwowskim.

– Od dwudziestu lat przyjeżdżamy, spędzamy tydzień z dziećmi, starając się im zapewnić z jednej strony



treści rekolekcyjne, z drugiej – dobrą zabawę. Staramy się, aby to był dla dzieci najlepszy tydzień w roku – powiedział Jakub Postrzednik, wolontariusz z Krakowa.

Przez cały tydzień 20 animatorów z Polski pracowało z grupą ok. 130 dzieci w wieku 8–14 lat z Pnikuta i Mościsk. Pomagali im w tym miejscowi młodzi ludzie, którzy kiedyś

jako dzieci brały udział w tej akcji, a teraz są tzw. „druhami” i współorganizatorami rekolekcji.

– Druh jest pośrednikiem pomiędzy animatorami z Polski i dziećmi

stąd. Znamy bardzo dobrze te dzieci i w różnych sytuacjach możemy pomóc animatorom – zaznaczyła Lena Dziubyńska, druha z Mościsk.

– Rekolekcje zmieniają dzieci i to widać z roku na rok. Jest to bardzo widoczne, szczególnie, gdy chodzi o druhow. Druhowie, którzy są pierwszy raz, zwykle są jeszcze nieśmiały, ale z każdym rokiem coraz bardziej się angażują i więcej z siebie dają – zaznaczyła Arletta Turek, animatorka w Krakowie.

W tym roku tematem przewodnim rekolekcji jest Osoba Ducha Świętego. W pierwszej połowie dnia dzieci biorą udział w ciekawych

Miesiąc Spotkań Autorskich we Lwowie

Maraton literatury Europy Środkowo-Wschodniej rozpoczął się 5 lipca. Gościem specjalnym Miesiąca Spotkań Autorskich jest Rumunia. Wśród pisarzy z Ukrainy, Czech, Słowacji, Rumunii i Mołdawii jest reprezentowana również Polska.

WOJCIECH JANKOWSKI
tekst i zdjęcie

Przez 32 dni będą się odbywać spotkania z literatami z Europy Środkowo-Wschodniej. Codziennie prezentuje swoją literaturę jeden pisarz z Ukrainy, Czech, Słowacji bądź Polski i jeden piszący po rumuńsku, z Rumunii bądź Mołdawii.

Polskę reprezentują w tym roku Weronika Murek, Małgorzata Rejmer, Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Kamil Bałuk i Bartosz Sadulski. Weronika Murek wystąpiła 11 lipca. Małgorzata Rejmer przybyła na spotkanie 15 lipca. Przed nami jeszcze wizyty Huberta Klimko-Dobrzanieckiego (25.07), Kamila Bałuka (29.07) i Bartosza Sadulskiego (2.08).

– Staramy się dobierać autorów polskich, którzy nie są bardzo znani we Lwowie, ponieważ wielu z nich odwiedzało już Lwów, występowali na licznych literackich wydarzeniach. My chcemy promować nowe, interesujące, naszym zdaniem, polskie nazwiska – zaznaczył dyrektor festiwalu Hryhorij Semenczuk.



Ostap Sływinskyj, Weronika Murek, tłumaczka Marija Szewczuk

Młoda pisarka z Katowic Weronika Murek otworzyła polską serię spotkań w ramach festiwalu. Spotkanie poprowadził wykładowca polonistyki lwowskiej, pisarz i tłumacz Ostap Sływinskyj. Weronika Murek ma w dorobku dramaty „Feinweinblein”, który otrzymał Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną w 2015 roku. Natomiast jej książka „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” otrzymała w 2016 roku Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza. Fragmenty tej książki były czytane przez autorkę w czasie spotkania. Ostap Sływinskyj przedstawił Murek, jako jedną z ciekawszych polskich młodych twórców. Bardzo chwalił jej surrealistyczny humor, w którym wplatają się codzienne, żywe dialogi z tematem śmierci.

– Po spotkaniach na Słowacji i w Czechach myślę, że taki czarny humor jest bliski wszystkim kulturom

– powiedziała po spotkaniu młoda pisarka. – Może nie wszystko da się przetłumaczyć, ale jakieś wyczuwanie absolutu, czy wyczuwanie na temat śmierci jest bliskie ludziom we wszystkich krajach i we wszystkich językach da się oddać. Z tego, co zauważyłam, po pytaniach publiczności ten nonsens jakoś „przechodził” i często przynosił zaskakujące refleksje ze strony widzów, w Czechach na przykład było to kojarzone z tym, co pisał na przykład Hrabal.

Weronika Murek przyznała, że lubi Ukrainę:

– Na Ukrainie byłam cztery razy. We Lwowie po raz drugi. Za każdym razem bardzo się cieszę na te odwiedziny, bo mam tu wielu znajomych i bardzo podoba mi się miasto.

Współorganizatorem wydarzenia jest Czeskie Centrum z Kijowa. Czeska placówka zaangażowała się we lwowskie wydarzenie. Przygotowała bezpłatny folder reklamujący czeską literaturę z... krecikiem na okładce. Do Galicji z Kijowa przyjechała dyrektor ośrodka Lucie Rehořiková.

– Staramy się być obecni w trakcie wszystkich ważnych wydarzeń kulturalnych. Prezentować nowe formaty i wspierać już istniejące, jak na przykład Autorskie Spotkania Literackie. Promować czeski wkład, jak na przykład tegoroczne spotkania, na których będzie sześciu czeskich pisarzy, dwa zespoły, jeden muzyczny, drugi słowno-muzyczny.

Miesiąc Spotkań Autorskich w tym roku ma na swojej trasie Brno, Koszyce, Ostrawę, Wrocław i Lwów. We Lwowie jest to piąta edycja wydarzenia, a same spotkania obchodzą 20. rocznicę. Literacki maraton rozpoczęły ważne nazwiska ukraińskiej literatury – Oksana Zabużko (5 lipca) i Taras Prochaśko (6 lipca), zakończy go Jurij Andruchowycz 4 sierpnia. Spotkania odbywają się codziennie w Teatrze im. Łesi Ukrainki przy ul. Gródeckiej 36 o godz. 18:30 i 20:00.

konferencjach i pracach w grupach zespołowych. Po południu mają gry i zabawy sportowe.

– Uczymy się różnych rzeczy o Bogu. Mamy konferencje i różnego rodzaju zawody sportowe – powiedział Jurek Dmytriw z Myślatycz, który po raz siódmy bierze udział w rekolekcjach.

Julia Winiarska z Tamanowic uważa, że wszyscy bardzo fajnie tutaj spędzają czas: ucząc się, modląc się i bawiąc się. – Podoba mi się tutaj wszystko. Bardzo interesujący program. Jest dużo nowych druhów, animatorów i nowych dzieci – powiedziała uczestniczka rekolekcji.

Ten wyjątkowy tydzień motywuje dzieci i wolontariuszy do działania

przez cały rok. – Widzimy, że jesteśmy dobrze odbierani przez dzieci, że jesteśmy wyczekiwani. Dostajemy zwrotną informację, szczególnie od rodziców, że dzieci chcą się angażować, że dzięki temu coś w ich życiu się zmienia – podsumowała Natalia Gordzielik, koordynator „Akcji Ukraina”.

W kolejnych tygodniach wolontariusze ze Śląska, Opola i Rzeszowa przeprowadzą rekolekcje dla dzieci z Łanowic, Sambora, Lwowa (Sichów) oraz Iwano-Frankiwka (d. Stanisławowa).

Projekt jest współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu RP nad Polonią i Polakami za Granicą w 2019 roku.

Piesza Pielgrzymka Pokoju i Pojednania do Bołszowiec

14 lipca podczas uroczystości odpustowej w Bołszowcach koło Halicza do kościoła Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny wrócił w swej wiernej kopii obraz Matki Bożej Bołszowieckiej, której znajduje się Gdańsku. Intronizacji dokonał biskup odesko-symferopolski Bronisław Bernacki, przewodniczący Konferencji Episkopatu łacińskiego Ukrainy. To wydarzenie poprzedziła doroczna Piesza Pielgrzymka Pokoju i Pojednania, którą co roku organizują franciszkanie konwentualni.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

W ciągu 4–5 dni do Bołszowiec szły grupy pątników ze Lwowa, Tarnopola, Kamianki Buskiej i Śniatynia. W drodze pielgrzymom towarzyszyli arcybiskup Mieczysław Mokrzycki i jego biskup pomocniczy Edward Kawa. Sprawowali msze św., wzywali do modlitw o pokój na Ukrainie i uświęcenie rodzin.

– Miesiąc lipiec dla naszego Kościoła na Ukrainie jest miesiącem pielgrzymowania, bo udajemy się do naszego krajowego sanktuarium do Berdyczowa, do Latyczowa, a także do naszego sanktuarium w archidiecezji lwowskiej do Bołszowiec – powiedział dla Kuriera arcybiskup Mokrzycki. – Cieszę się, że mogłem się spotkać z pielgrzymami z Kamionki Buskiej, Lwowa, Tarnopola, Śniatynia, pozdrowić ich i podziękować im, że poświęcają swój czas na modlitwę, na te rekolekcje w drodze i na spotkanie ze swoimi bliskimi, znajomymi, za to, że zanoszą modlitwy za cały nasz Kościół, a także za tych wszystkich, którzy polecają się naszym modlitwom. W tym roku przeżywamy wyjątkowy czas, ponieważ w Kościele na Ukrainie poświęcony



Kopia obrazu Matki Bożej w Bołszowcach

skich katolików i jest życzliwa. We wsi Uhrynów w rejonie podhajeckim Merenowie, właściciele restauracji baru „Merenowi peczery” (Merenowe jaskinie) gościnnie zaprosili całą pielgrzymkę na smaczny poczęstunek. Tak było też w ubiegłym roku. Obecny arcybiskup Mieczysław Mokrzycki złożył gospodarzom podziękowanie oraz wręczył medal pamiątkowy.

W grupie bł. Marty Wieckiej, która szła ze Śniatynia, zauważyliśmy młodą kobietę z dziecięcym wózkiem.

– To nasza najmłodsza uczestniczka, Dominika – wyjaśniła jej

zewnątrz i wewnątrz kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Jezupolu koło Halicza. Ks. Jacek Waligóra przywitał zmęczonych pielgrzymów, pokroił wodę święconą, a ks. arcybiskup Mieczysław Mokrzycki przewodniczył Mszy św. i wygłosił homilię.

W dniach 14–17 lipca w Bołszowcach potrwa XVII Franciszkańskie Spotkanie Młodzieży.

Przed II wojną światową w kościele karmelitów trzewickich w Bołszowcach znajdował się cudowny obraz Matki Bożej, który w ciągu trzech wieków był tam czczony przez katolików dwóch obrządków. Został znaleziony w wodach Dniestru przez Marcina Kazanowskiego, kasztelana halickiego (później wojewodę podolskiego i hetmana polnego koronnego), który w pościgu za Tatarami przepłynął się promem przez rzekę.

Kronika klasztoru zanotowała liczne łaski i cuda za wstawienictwem Matki Bożej w obrazie bołszowieckim.

Po ich udokumentowaniu lwowski arcybiskup Wacław Sierakowski uznał obraz za cudowny. W 1777 r. obraz został ukoronowany koronami poświęconymi przez papieża



on jest świętości rodziny i małżeństwa. Modlimy się za nasze rodziny, za dzieci w rodzinach, by mogły wzrastać w dobrych warunkach, by rodzice mieli pracę i zapewniali swoim dzieciom godne warunki życia.

Do grupy, która wyszła z Tarnopola już tradycyjnie dołączyli pielgrzymi z diecezji kamieniecko-podolskiej, z Chmielnickiego (dawniej Proskurowa), miejscowości Maćkowiec i po raz pierwszy z Gródka Podolskiego.

Ludność miejscowa już przyzwyczaiła się do pielgrzymek rzym-

mama pani Natalia. – Moja córeczka ma trzy i pół roku. Jesteśmy z parafii w Zabłotowie. Wiedziałam, że będzie ciężko, jednak bardzo chciałam pójść do Bołszowiec.

Uczestników grupy, która szła z Kamionki Buskiej wzruszył salezjanin ks. Piotr Smolka. Zaprosił pielgrzymów do kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Ciemierzyńcach, który podnosi z całkowitej ruiny.

Pielgrzymi, którzy już nie pierwszy rok idą ze Śniatynia, zauważyli jak pięknie został wyremontowany

Klemensa XIII. Po 1945 r. obraz wywieziono do Polski. Obecnie znajduje się w kościele św. Katarzyny w Gdańsku.

Za czasów sowieckich zespół budowli kościelnych w Bołszowcach popadał w ruinę. Po odrodzeniu wspólnoty rzymskokatolickiej zaczęli przyjeżdżać tu franciszkanie konwentualni razem z młodzieżą ze Lwowa. Rozpoczęli oni odbudowę sanktuarium. Obecnie funkcjonuje tam też Młodzieżowe Centrum Pokoju i Pojednania.

Jerzy Giedroyc i Bohdan Osadczyk – współpraca dwóch intelektualistów

88. Spotkanie Ossolińskie poświęcone było wybitnym postaciom w powojennych stosunkach polsko-ukraińskich – redaktorowi paryskiej „Kultury” Jerzemu Giedroycowi i profesorowi Uniwersytetu Berlińskiego Bohdanowi Osadczykowi. Obydwaj działali na emigracji, nie mieli żadnego wpływu na rządy komunistów ani w Polsce, ani na Ukrainie, ale, jak się okazało, ich dorobek intelektualny po dzień dzisiejszy był i jest niezwykle ważny dla kształtowania współczesnych stosunków polsko-ukraińskich, a także na pojmowanie historycznej roli tych stosunków dla Europy Środkowo-Wschodniej.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Po raz pierwszy Spotkanie Ossolińskie było zorganizowane w formie dyskusji pomiędzy Bogumiłą Berdychowską z Polski a Tarasem Wozniakiem z Ukrainy. Faktycznie jednak była to raczej nie dyskusja, lecz wzajemne uzupełnianie poglądów dotyczących działalności tak ważnych dla Polski i Ukrainy postaci jak Jerzy Giedroyc i Bohdan Osadczyk.

Bogumiła Berdychowska od lat specjalizuje się w historii Ukrainy XX wieku i stosunkach polsko-ukraińskich. Jest ona współautorką (z Olą Hnatiuk) książki „Bunt pokolenia. Rozmowy z intelektualistami ukraińskimi”. Autorka wyboru i redaktorka antologii publicystyki „Kultura” paryskiej poświęconej kwestii ukraińskiej „Zamiłowanie do spraw beznadziejnych” oraz tomu szkiców „Ukraina: ludzie i książki”. Edytorce korespondencji Jerzego Giedroycia z przedstawicielami emigracji ukraińskiej „Jerzy Giedroyc – Emigracja ukraińska. Listy 1950–1982” i najnowszej „Korespondencja 1950–2000. Jerzy Giedroyc, Bohdan Osadczyk”.

Taras Wozniak, lwowianin, Ukrainiec. Od 1989 roku jest założycielem i redaktorem naczelnym niezależnego kulturoznawczego kwartalnika „i” („Ji”). W 2005 roku – współzałożyciel i prezes Fundacji Współpracy Ukraińsko-Polskiej. Od 2016 roku – dyrektor generalny Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki im. B. Woznickiego. Od 2017 roku członek Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa przy ministrach spraw zagranicznych Ukrainy i Polski. Politolog. Historyk sztuki. Autor ponad 500 artykułów w prasie ukraińskiej i zagranicznej.

Spotkanie Ossolińskie prowadziła Wiktoria Malicka, pełnomocnik wrocławskiego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Szczelnie wypełniona największa sala we Lwowskiej Narodowej Bibliotece Naukowej Ukrainy im. W. Stefanyka świadczyła o niezwykłym zainteresowaniu tym tematem wśród lwowskiej inteligencji, przedstawicieli polskich organizacji działających we Lwowie, duchowieństwa, polskiego Konsulatu Generalnego, lwowskich mediów. Było to pierwsze Spotkanie Ossolińskie, na którym referaty wygłaszali i dyskutowali w języku ukraińskim również przedstawiciele strony polskiej.

Dla szerszego audytorium naszych czytelników trzeba by jednak



Taras Wozniak i Bogumiła Berdychowska

w skrócie przedstawić postacie, którym poświęcone zostało spotkanie.

Jerzy Giedroyc (1906–2000) urodził się w Mińsku. Pochodził z książęcego rodu o korzeniach litewskich. Od 1919 roku zamieszkał z rodzicami w Warszawie. Na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1924–1931 studiował prawo i historię. W latach trzydziestych redagował kilka tygodników, między innymi „Bunt młodych”. Pracował jako sekretarz ministra rolnictwa. Dalej praca na placówce dyplomatycznej w Bukareszcie. Tam zastała go II wojna

„Kultury” wraz z Juliuszem Mieroszewskim koncepcję, iż suwerenność Ukrainy, Litwy i Białorusi jest czynnikiem niepodległości Rzeczypospolitej, natomiast zdominowanie tych krajów przez Rosję otwiera drogę do zniewolenia także Polski. Był gorącym agitator na rzecz współpracy i porozumienia polsko-ukraińskiego, a także polsko-litewskiego i polsko-białoruskiego. Był również autorytetem moralnym dla emigracji polskiej. W PRL-u jego nazwisko było na liście osób z całkowitym zakazem publikacji.



światowa. Zajmował się uchodźcami z Polski. W 1940 roku wstąpił do Wojska Polskiego w Palestynie. Pracował w Biurze Propagandy 2 Korpusu generała Andersa. W 1946 roku w Rzymie założył Instytut Literacki, zaś w latach 1947–2000 wydawał miesięcznik „Kultura” w Paryżu, a od 1963 również „Zeszyty Historyczne”. W 1974 roku sformułował na łamach

Bohdan Osadczyk (1920–2011) urodził się w Kołomyi. Ojciec jego był Ukraińcem, matka – Polką. Już w czasie wojny zdał maturę w Krakowie, zaś w latach 1941–1944 studiował historię krajów Europy Wschodniej i Bałkanów, prawo międzynarodowe i języki wschodnie na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. W tym czasie utrzymywał kontakty

z przedstawicielami zarówno podziemia ukraińskiego, jak i podziemia polskiego. Po 1945 roku publikował artykuły w niemieckojęzycznej gazecie „Die Neue Zeitung”. W roku 1950 brał udział w berlińskim Antykomunistycznym Kongresie Wolności i Kultury. Tam poznał Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego. Od tego czasu współpracował z „Kulturą” paryską. Zbiór jego korespondencji ukazał się w 2005 roku w tomie „Emigracja ukraińska. Listy 1950–1982”. Doktorował się na Wolnym Ukraińskim Uniwersytecie pracą o polityce narodowościowej w ZSSR od Lenina do Chruszczowa. Od 1966 roku był docentem, profesorem i wreszcie prorektorem tego Uniwersytetu. Występował jako komentator w programach telewizji niemieckiej. Zasłynął wśród przedstawicieli emigracji jako wybitny sowietolog, badacz Europy Środkowo-Wschodniej, publicysta, dziennikarz. W ostatnich latach życia był członkiem Rady Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu.

Bogumiła Berdychowska w swoim referacie podkreśliła, że wszystkie działania Giedroycia, jak też Osadczyka skierowane były na odzyskanie pełnej niepodległości



Wiktoria Malicka

dziesięcioleci potwierdziły ich głębokie rozumienie nie tylko historii stosunków polsko-ukraińskich, ale i perspektywy ich rozwoju w najnowszych czasach i ich znaczenie nie tylko dla obydwóch narodów, ale i całej Europy. Ich dyskusja na przestrzeni 50 lat przyczyniła się do wzajemnego zrozumienia pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Nie wszyscy do końca rozumieli tę sytuację, tę dyskusję. Historia i dzień dzisiejszy potwierdziły kluczowe znaczenie współpracy polsko-ukraińskiej dla Europy Środkowej, a także to, że bez solidarności tych dwóch narodów niemożliwe jest osiągnięcie pozytywnego rozwoju całego regionu.

Taras Wozniak podkreślił, że kiedy Giedroyc i Osadczyk dyskutowali o tym, jak zmienić format układów politycznych w Europie Środkowo-Wschodniej, mało kto wierzył, że to jest możliwe jeszcze za ich życia. Marzyciele i fanteści... Ale to, o czym pisali, okazało się rzeczywistością a rozwój stosunków polsko-ukraińskich jest dziś niezwykle ważny i dla Ukrainy, i dla Polski. Była to nie tylko recepta na sposób ułożenia nowego postkomunistycznego świata, ale był to też przykład innego myślenia i innej mentalności we wspólnych stosunkach oraz stosunkach z Rosją. Redaktor i profesor szukali nowego modelu współpracy. Przed II wojną światową właśnie Polska była na rubieży wolnego świata, na granicy walki z komunizmem. Teraz Ukraina jest na rubieży walki z tak zwanym „ruskim mirem”. Dlatego sojusz Ukrainy, Białorusi i Litwy i ich dobre stosunki z Polską są tak ważne dla Polski i dla całej Europy.

Po wystąpieniach Berdychowskiej i Wozniaka miała miejsce bardzo żywa i owocna dyskusja.

Na zakończenie spotkania Wiktoria Malicka ogłosiła letnią przerwę w regularnych Spotkaniach Ossolińskich. Następne spotkanie odbędzie się we wrześniu.

Janusz Gniatkowski w pamięci Lwowian

Wzruszającym wieczorem wspomnień z dawnych lat stał się Międzynarodowy Festiwal piosenek legendy polskiej estrady – Janusza Gniatkowskiego pod nazwą Apassionata, który 28 czerwca odbył się w Filharmonii Lwowskiej. Polacy i Ukraińcy wspólnie uczcili piosenkarza, który urodził się w tym mieście.



Orest Cymbała

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Przed rozpoczęciem występów uczestników festiwalu powitała konsul RP we Lwowie Małgorzata Siekierzyńska.

– Fajne to jest, człowiek wspomina swoją młodość – powiedziała w przerwie Bożena Sokółowska,



Polka ze Lwowa. – Dzisiaj na tej sali jest takie wspaniałe towarzystwo, i polskie, i ukraińskie, że taka właśnie powinna być przyjaźń od samego początku. Dzisiaj się odczuło, że Ukraińcy nas bardzo szanują. A piosenki z tamtych lat, z lat naszej młodości, chwytają za serce. Bardzo dziękujemy za ten festiwal.

Przeboje z lat 50. i 60. brzmiały w wykonaniu wykonawców z Ukrainy i z Polski.

– Jestem pierwszy raz we Lwowie – powiedziała najmłodsza piosenkarka uczestnicząca w festiwalu – 12-letnia Amelia Cierpiał z Częstochowy. – Śpiewałam dzisiaj na scenie dwie piosenki, oczywiście Janusza Gniatkowskiego. „Czeremszynę” zaśpiewałam po ukraińsku. Mój tata wydrukował mi tekst ukraiński fonetycznie, i z tego się właśnie uczyłam. A w dodatku mam jeszcze w szkole muzycznej nauczycielkę gry na fortepianie, która jest Ukrainką. Bardzo dobrze mi się śpiewało. Widownia jest genialna, bardzo ekskluzywna.

Na festiwal nie mogła przyjechać Krystyna Majewska, jednak na sali Filharmonii Lwowskiej zabrzmiały nagrania piosenek w jej wykonaniu oraz wspólne, śpiewane z Januszem Gniatkowskim. Zwłaszcza ukraińskie.

Pomysłodawcą projektu jest ukraiński piosenkarz Orest Cymbała, który wyraził podziękowanie Konsulatowi Generalnemu RP we Lwowie za wsparcie tego festiwalu.

– Chciałbym kontynuować to nasze dzieło – powiedział Orest Cymbała. – Już od dziesięciu lat corocznie w Poraju odbywa się Ogólnopolski Festiwal Piosenek Janusza Gniatkowskiego. Może by się udało, żeby festiwal odbywał się raz w Poraju, a w roku następnym we Lwowie. Byłoby dobrze, gdyby zaistniała aktywna



wymiana wykonawców. Młodych, takich jak ta dziewczynka Amelia Cierpiał, która pewnie będzie kiedyś taką gwiazdą jak Renata Bogdańska czy ukraińska piosenkarka Kwitka Cisyk.

Po zakończeniu występów redaktor Anna Gordijewska złożyła życzenia organizatorom i uczestnikom festiwalu w imieniu redakcji „Kuriera Galicyjskiego”, który był partnerem medialnym tego przedsięwzięcia.

Drugie życie polskim piosenkom z repertuaru Janusza Gniatkowskiego podarowała ukraińska poetka i tłumacz ze Lwowa Anna Kanycz.

– Tłumaczyłam na język ukraiński „Apassionatę” oraz inne piosenki, które wykonywał Janusz Gniatkowski – powiedziała. – Taki festiwal jest bardzo potrzebny, ponieważ jednoczy narody. Musimy czynić wszystko, aby zanikały granice i sprzeczki, przecież jesteśmy słowianami.

Komu huculski kapelusz?

W dalekiej górskiej wiosce Krasnoilla, w obw. iwanofrankińskim, produkowane są tradycyjne kapelusze huculskie według XVII-wiecznych wzorów. Są często kupowane przez turystów z Polski.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

– Bierście, paniusiu, swemu mężowi kresanię – z uśmiechem proponuje miła gospodyni czarny, ozdobiony kolorowymi nićmi, lelitkami i wstążkami kapelusz z szeroką kresą. Zainteresowałam się różnorodnymi kolorami, biorę kapelusz, przyglądam się i nawet przymierzam...

– To jest nasze rodzinne rzemiosło – z dumą mówi pani Maria. – Jeszcze od pradziada. Takie kapelusze noszą u nas od stuleci, a my, Potiacy, huculską tradycję podtrzymujemy.

Jak twierdzi pani Maria, kresania – to czarny welniany kapelusz z niewysokim denkiem i szerokimi, zagiętymi do góry kresami. Stąd też wzięła się nazwa – kresania. Takie kapelusze w karpackich wioskach noszone są od XVII wieku. Taki kapelusz nazywany jest też „doboszówką”, bo, według legendy, nosił go legendarny opryszek Dowbusz. Obecnie kresanie noszą przeważnie żonaci mężczyźni – gazdowie. Wkładane są na święta państwowe i religijne. W chłodnej porze roku – co niedzieli do cerkwi.

Inny rodzaj nakrycia głowy, produkowany przez Marię Potiak – to barszwyki. To nakrycie ma małe kresy (po huculsku – barsze). W barszówkach przechadzają się nawet mali – 3-letni chłopcy. Ubierane są na różne święta, uroczystości w przedszkolach i szkołach. W nich się żenią, chrzczą dzieci, a nawet chodzą na wybory. Jednym słowem – jest to kapelusz na różne okazje. Co to za Hucul bez barszwyki – mogą go wykić.

Żeby zrobić huculski kapelusz należy kupić tradycyjny kapelusz welurowy. Pani Maria kupuje takie hurtem w Czerniowcach lub Chuście. W domu mistrzyni zdejmują wstążki i ozdoby, wrzuca kapelusz do wrzą-



ku i dolewa specjalnego kleju. Po dziesięciu minutach nakłada go na specjalne dębowe kule – „formaki”. Modeluje na nich kapelusz, rozciąga kresy lub robi je węższe. Welur powinien być gorący. Trzeba wszystko robić szybko, żeby się nie poparzyć. Na formakach kapelusze stoją przez dwa tygodnie. Po tym stają się tak twarde, że można nimi „gwoździe wbijać”. Wówczas można przystąpić do ich dekoracji.

– Do dekoracji używamy złociste plastikowe korale, lelitki, zmotane i rozpuszczone kolorowe nici – wyjaśnia kobieta. – Początkowo wokół kapelusza przyszywam mocnymi nićmi korale, nad nim żółte, niebieskie i czerwone nici tzn „robaki”. Wyżej – kwiaty z pozłacanych lelitek i znów nici. Pięć lub siedem poziomów. W końcu – pozłacane korale.

Z jednej strony przy dekoracji mocowany jest piórpusz z 20–30 kolorowych sztucznych kwiatów – tzn. „ogalion”. Na zakończenie dodaje się kolorowy „deszcz” z bożonarodzeniowej choinki. Przy poruszaniu się te ozdoby poruszają się i mienią kolorami. Chyba dlatego nazywane są „trzęsonką”. Ale można je lekko zdjąć.

Huculskie kapelusze są również dekorowane kolorowymi pomponami z czerwonych, zielonych, pomarańczowych i bordowych nici. Na wyrób jednego kapelusza mistrzyni poświęca nieraz cały miesiąc. Te tradycyjne nakrycia głowy Huculów kosztują od 600 do 1200 hrywien. Zamówień kobiecie nie brakuje, szczególnie przed wielkimi świętami religijnymi. Wiele z nich zamawiane są do muzeów i chętnie kupują je goście z Polski i Kanady.

Konkurs na prace o obronie Lwowa w 1939 r.

Redakcja „Kuriera Galicyjskiego” oraz Fundacja Joachima Lelewela ogłaszają konkurs dla młodzieży – „Obrona Lwowa – wrzesień 1939”.

Uczestnikami konkursu mogą być uczniowie ostatnich pięciu klas szkół średnich, w których nauczany jest język polski, na terenie obejmującym okręg konsularny Konsulatu Generalnego RP we Lwowie. Prosimy o nadsyłanie prac – opowiadań, utworów dziennikarskich (np. wywiadów, reportaży) oraz filmów (do 5 minut) – dotyczących obrony b. południowowschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej, a zwłaszcza Lwowa, przed Armią Niemiecką (Wehrmachtem) i Armią Czerwoną we wrześniu 1939 r. Praca (w języku polskim) powinna opisywać tamte wydarzenia lub pokazywać ich dzisiejszy wygląd, może zawierać relacje żyjących świadków walk z września 1939 roku lub ich krewnych, opisy miejsc walk, opisy upamiętnień walk.

Konkurs rozpoczyna się 10 lipca 2019 r. i będzie trwał do 1 listopada 2019 r. Prace prosimy nadsy-



łać na: adresbiuro@fundacjalelewela.pl oraz kuriergalicyjski@wp.pl lub osobiście do osób wskazanych przez organizatorów. Szczegóły podane będą na stronach internetowych Fundacji Lelewela (<http://fundacjalelewela.pl/>) oraz <http://kresy1939.pl/>) oraz „Kuriera Galicyjskiego”: www.kuriergalicyjski.com

Przewidywane są dwie pierwsze nagrody, za utwór dziennikarski

lub literacki oraz za film. Nagrodą jest tablet oraz publikacja nadesłanej pracy (możliwa jest publikacja wybranych prac jeszcze przed przyznaniem nagród). Oprócz tego przyznane będą inne nagrody i wyróżnienia. Szczegółowy regulamin konkursu dostępny jest na stronie: <http://kresy1939.pl/> oraz:

www.kuriergalicyjski.com

Zapomniane. Odzyskane. Polska pamięć pokoleń

Trzymają Państwo w rękach wyjątkowo. Wyjątkowo, ponieważ pozwala zatrzymać czas. Przenieść się do świata już minionego i wydobyć go z zapomnienia. Przywołać dawne zdarzenia, przeżycia, tragedie i radości, będące udziałem polskich mieszkańców ziem, które w wyniku dziejowych zawieruch znalazły się poza granicami Polski. Wydawnictwo to pozwala ocalić dla obecnych i przyszłych pokoleń ich historię rodzinną, obrazy z życia codziennego, wygląd miejsc. Zebrane w

całość tworzą obraz kresowej Polski i Polaków, którzy mimo przeciwności i rozmaitych szykan ze strony władz sowieckich próbowali zachować swoją odrębność narodową, kultywować polskie święta, polską kulturę, tradycje i obyczaje.

Co ważne, wspomnienia te zostały zebrane przez przedstawicieli najmłodszego pokolenia – wnuków czy prawnuków ich autorów, które dzięki odkrywaniu przeszłości własnych rodzin dowiedziały się czegoś więcej o swoich korzeniach. Ma to niebagatel-

ne znaczenie dla wzmocnienia ich poczucia tożsamości narodowej i świadomości otrzymania w spadku po przodkach dziedzictwa kulturowego, dla zainteresowania ich – młodych Polaków, dzisiejszych mieszkańców Ukrainy – polską przeszłością Kresów, a także zbudowania w nich dumy z bycia Polakami.

Wydawnictwo to nigdy by nie powstało, gdyby nie projekt Fundacji Wolność i Demokracja „Niepodległość i Pamięć”, zrealizowany w roku 2018 – roku obchodów 100.

rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Był on adresowany do młodych osób pochodzenia polskiego, które miały za zadanie przeprowadzić wywiad z najstarszym członkiem rodziny i na podstawie uzyskanych informacji spisać te wspomnienia. Wiele jest w tych relacjach zdarzeń radosnych, wiele smutnych, są opowieści o zsyłkach do Kazachstanu czy na Syberię, o represjach. Przeprowadzającym wywiady udało się wydobyć na światło dzienne unikalne przekazy, które

mają wartość nie tylko wspomnieniową, ale i historyczną.

Do projektu zostało zaproszonych 800 uczniów polskich szkół sobotnio-niedzielnich, którzy nie ukończyli 25 roku życia, zamieszkałych na zachodniej i centralnej Ukrainie. Niniejsze wydawnictwo pokazuje zaledwie małą część ich pracy, ale jakże reprezentatywną. Zamieszczone w nim dokumenty i zdjęcia pochodzą z archiwów rodzinnych.

LILIA LUBONIEWICZ

Wspomnienia Oleny Polikowskiej

Mąż uczył mnie, że w Susłach trzeba witać się słowami „Niech będzie pochwalony”. Nie będę opowiadać o sobie, tylko o moim zmarłym już mężu Piotrze Polikowskim.

WIKTORIA BASISTA

Matka Rozalia Mążyjewska pracowała w kolchozie, prowadziła dom i wychowywała dzieci. Była niepiśmienna, ale знаła na pamięć modlitwy, czytała te modlitwy z modlitewnika, który nazywała „książeczką”. Mnie nauczyła modlitwy do św. Bernarda. Zawsze, kiedy przyjeżdżałam z mężem do Susel, mąż uczył mnie, że nie należy mówić „dzień dobry”, ale „Niech będzie



Olena Polikowska

pochwalony”. Bardzo mi się to podobało. Na Wielkanoc natomiast wszyscy witali się słowami: „Chrystus Pan zmartwychwstał” i odpowiadali „Prawdziwie zmartwychwstał”.

Ojciec mojego męża Józef był bardzo wysokim mężczyzną. W cza-



Zachowany fragment fotografii, na której jest Józef Polikowski, ojciec Piotra Polikowskiego (od prawej)



Piotr Polikowski

sie II wojny światowej przez to, że był Polakiem, został zmobilizowany późno, dopiero w 1944 roku. Rozalia w tym czasie oczekiwała czwartego dziecka. Urodził się chłopiec. Józef przyjechał specjalnie do wsi, żeby wybrać synowi imię. Nazwano go Piotrem. Dwa tygodnie później Józef, który ze względu na słuszny wzrost nie mieścił się w okopie, został ranny. Rana była śmiertelna. Było to we wsi Brody, miesiąc po mobilizacji. Jego imię i nazwisko widnieje na kamiennej płycie wraz z nazwiskami poległych w bitwie pod Brodami w 1944 roku – tak mówił mi mąż, który był na grobie swojego ojca.

Mój mąż zmarł w dniu ślubu naszej młodszej córki Natalii w 2002 roku.



Rozalia Mążyjewska z wnuczkami – córkami Piotra: Larysą i Natalią, 1980 r.

Wspomnienia Nadziei Susznickiej

Moi dziadkowie wykreowali w mojej wyobraźni Polskę jako kraj wspa- niałą, z ludźmi o wysokiej kulturze osobistej, uczciwymi, pracowitymi, dbającymi o czystość, wierzącymi w Boga i pomagającymi bliźniemu.

ANDRZEJ BASIUK

Módl się i pracuj, a wszystko zwyciężysz – to były słowa, które wyznaczały kierunek w czasach normalności i dodawały otuchy w najtrudniejszych momentach życia mojej rodziny. A tych momentów było niemało, bo los i historia bardzo mocno moją rodzinę doświadczyły. Moi przodkowie przyjechali do Krzywego Jeziora w okolicy Odessy z Warszawy i dzięki ciężkiej pracy na roli i bogobojności dorobili się majątku. Mieli szlacheckie pochodzenie.

po 10 latach powrócił do rodziny, nie zastał już młodszego syna Anatola, który zmarł z głodu. Bardzo trudne było to spotkanie, bowiem okazało się, że żona Anna powtórnie wyszła za mąż, wcześniej bowiem otrzymała informację o rzekomej śmierci Eugeniusza. I jak opowiadała potem babcia Anna swoim wnukom, popłakali z Eugeniuszem nad swoim losem i rozstali się na zawsze. Trwała II wojna światowa, Eugeniusz trafił na front, a jego dzieci z drugiego małżeństwa zaginęły w wojennej zawierusze. Po powrocie wziął na wychowanie sie-



Dziadek Eugeniusz z rodzicami, Grzegorzem Sośnickim i Teofilem (z domu Sawicką)

Jednak rewolucja i późniejsze rządy Sowietów odebrały im wszystko. Pradziadek Sośnicki w 1931 został rozstrzelany przez bolszewików, a jego syn, mój dziadek Eugeniusz, zesłany na Syberię. Majątek odebrano. Eugeniuszowi udało się uciec stamtąd i przez kilka lat, pracując jako tragarz na dworcu w Taszkencie, przesyłał rodzinie w Krzywym Jeziorze pieniądze i jedzenie. Te jednak nie dochodziły do głodnej i spracowanej żony z dwójką dzieci. Gdy

rotę Aleksandra, któremu dał swoje nazwisko Susznicki. Do końca życia mieszkał w Kijowie i marzył o powrocie do Polski. Tę miłość do Polski zaszczepił swojej córce Lubow, która dołączyła do ojca podczas studiów, a potem i mnie, swojej wnuczce.

Historia mojej rodziny to nie tylko rozstrzelani, represje, wywózki, utrata majątku, to także Wielki Głód na Ukrainie, który pochłonął miliony ofiar. 11-letni wówczas ojciec wyszukiwał ziaren w mysich norkach, żeby



Rodzina Sośnickich herbu Trąby

potem gotować z nich kleik. W czasie wojny został wcielony do karnej kompanii, w której walczył przeciwko Niemcom. Pod Jassami został ciężko ranny i stracił wzrok (po kilku dniach go odzyskał). Przez trzy dni leżał w rowie, a obok jeździły niemieckie czołgi. Zauważył go i uratował rodak, któremu był wdzięczny za życie do samego końca. Po wojnie był bardzo dobrym i oddanym swej pracy chirurgiem.

Lista cierpień z rąk władzy sowieckiej jest długa: wujostwo Dolińscy Wjaczesław i Walentyna wywiezieni jako dzieci do Kazachstanu, ich rodzice rozstrzelani, majątek przejęty przez Sowietów; rodzina ciotki Marceliny w 1937 roku wsadzona na duży statek w Odessie i razem z innymi zatopiona w Morzu Czarnym. Rozstrzelani mężczyźni, wypędzone z własnych domów kobiety z małymi dziećmi na rękach, wielu zamordowanych sztucznie wywołanym głodem.

Z dorobku rodziny zostało zaledwie kilka zdjęć. Pozostała pamięć pokoleń i zew krwi. Groby bliskich, które są świętym miejscem, nawet te nieodnalezione. Pomimo represji i strachu, wbrew temu, co o Polsce mówiono, przekazywano z ojca na syna pamięć o tym, że jesteśmy Polakami, potajemnie obchodzono święta i szepciano modlitwy. To wszystko jest we mnie, w moich dzieciach. Bo wszyscy moi przodkowie byli wspa- niałymi Polakami.

Prace konserwatorskie w świątyniach lwowskich. Sezon 2019

W sezonie 2019 roku polsko-ukraińska grupa konserwatorów kontynuuje w szerokim zakresie prace rozpoczęte w ubiegłych latach. Dotyczy to prac w katedrze łacińskiej, w katedrze ormiańskiej, w kościele pw. św. Antoniego na Łyczakowie i w kościele pojezuickim pw. św. Piotra i Pawła – obecnie greckokatolickiej cerkwi garnizonowej.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Polsko-ukraińska komisja ekspertów oceniła prace konserwatorskie wykonane w 2018 roku i zatwierdziła plan na 2019 rok. Wysoka ocena prowadzonych w ubiegłych latach prac renowacyjnych spowodowała, że wszystkie zespoły konserwatorskie otrzymały odpowiednie zadania, a także finansowanie również w 2019 roku.

W katedrze rzymskokatolickiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny komisję witał gospodarz miejsca ksiądz kanonik Jan Nikiel. O rezultatach prac konserwatorskich w kaplicy Chrystusa Ukrzyżowanego i zadaniach na nowy sezon mówił Paweł Baranowski, kierownik zespołu konserwatorskiego. W latach poprzednich została odnowiona XVIII-wieczna polichromia i sztukaeria, konserwacji poddany ołtarz z cennym XV-wiecznym krucyfiksem, dziełem krakowskiego rzeźbiarza Mikołaja Haberschracka. W 2019 roku będzie odnowiona posadzka kaplicy i poddane renowacji cenne marmurowe pomniki lwowskich arcybiskupów Wacława Hieronima Sierakowskiego, Ferdynanda Onufrego Kickiego i św. Józefa Bilczewskiego.

Ewelina i Robert Kędziewscy już drugi sezon zajmują się konserwacją największego w katedrze witraża „Matka Boska Królowa Aniołów”, wykonanego w fabryce Franca Mayera według projektu Teodora Axentowicza. Prace konserwatorskie będą zakończone do października, kiedy odnowiony witraż zostanie zmontowany w oknie nad chórem muzycznym. Komisja konserwatorska oceniła również zakończenie renowacji barokowego XVIII-wiecznego konfesjonatu. Takich konfesjonatów w katedrze jest cztery i w 2019 roku zostanie odnowiony kolejny.

Bardzo ważne są prace wykonywane na zewnątrz świątyni. Komisja poleca dalsze prace przy odnowieniu barokowych XVII-wiecznych figur apostołów ustawionych w ogrodzeniu katedry. Jak wiadomo, przed rokiem została odnowiona jedna z siedmiu rzeźb, mianowicie św. Pawła Apostoła. Teraz przyszła kolej na sześć pozostałych. Ogrodzenie katedry, powstałe w 1805 roku i przebudowane w latach 1858–1859, znajduje się w stanie wymagającym remontu i renowacji. Podmurowanie żeliwnego ogrodzenia jest częściowo zniszczone lub zamienione na współczesne metalowe, które nie ma żadnej wartości artystycznej. Odnowienie ogrodzenia i figur Apostołów nie tylko uratuje cenne zabytkowe dzieła sztuki, ale też znacznie podniesie estetyczny wygląd katedry od zewnątrz. Razem z już poddanymi konserwacji

XVIII-wiecznym Grobem Pańskim i epitafium z końca XVI wieku rodziny Szolców-Wolfowiczów stanowią piękny zespół dzieł sztuki prezentujący świątynię katedralną. Bardzo ważną rzeczą byłoby uwzględnienie następnych konserwacji w latach następnych północnej fasady renesansowej Kaplicy Kampianów.

Prace konserwatorskie przy ogrodzeniu katedry nadzoruje Janusz Smaza, profesor Warszawskiej ASP. Prace konserwatorskie w katedrze rzymskokatolickiej finansowane są ze środków polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Od 2006 roku trwają polsko-ukraińskie prace konserwatorskie w Katedrze Ormiańskiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Wcześniej prace były finansowane z funduszy polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN), zaś od 2018 roku również Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika”. Instytut został powołany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego 18 grudnia 2017 roku jako wyspecjalizowana instytucja kultury, której celem jest zachowanie materialnych śladów kultury polskiej za granicą oraz kształtowania świadomości Polaków na temat ich dziedzictwa kulturowego. Ochrona polskiego dziedzictwa kulturowego znajdującego się poza granicami kraju jest jednym z podstawowych działań Instytutu Polonika, realizowanych w ramach Programu Strategicznego „Ochrona polskiego dziedzictwa kulturowego za granicą”. Od pierwszego roku istnienia Instytut Polonika prowadzi szerokie prace konserwatorskie i badawcze na terenie Ukrainy, wspólnie ze stroną ukraińską we Lwowie, w Olyce na Wołyniu – dawnej rezydencji Radziwiłłów, w Drohobyczu w kościele pw. św. Bartłomieja, w Żółtkwi w kościele



Kaplica Chrystusa Ukrzyżowanego w katedrze łacińskiej

farnym pw. św. Wawrzyńca, w Berdyczowie w kościele karmelitów bosych, w Tywrowie w kościele pw. św. Michała Archanioła, gdzie Instytut finansuje restaurację obrazu Matki Boskiej Tywrowskiej.

We Lwowie Instytut Polonika finansuje prace konserwatorskie nie tylko w katedrze ormiańskiej, lecz również w kościele pojezuickim pw. św. Piotra i Pawła (obecnie greckokatolicka cerkiew garnizonowa), na Cmentarzu Łyczakowskim, w kościele franciszkańskim pw. św. Antoniego Padewskiego i w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w podlwowskich Winnikach.

W pracach konserwatorskich w katedrze ormiańskiej i jej najbliższym otoczeniu konserwatorów wspierają i pomagają w realizacji planów ormiańska parafia i ormiańskie towarzystwa działające we Lwowie. Zainteresowanie pracami konserwatorskimi wykazał zwierzchnik Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego na Ukrainie arcybiskup Markos Oganiesian. Przyjechał z Kijowa na spotkanie z polsko-ukraińską komisją konserwatorską.

W 2019 roku prace konserwatorskie będą skoncentrowane w prezbiterium katedry. Członków komisji przy ołtarzu głównym witał przedsta-

wiciel gospodarzy miejsca ojciec diakon Armen Akobian, który odśpiewał krótką modlitwę ormiańską i pobłogosławił obecnych i prace konserwatorskie. Kierownik prac konserwatorskich Paweł Baranowski przedstawił członkom komisji zakres prac w 2019 roku, opowiedział o problemach technologicznych, które stoją przed polsko-ukraińską grupą konserwatorów. Według zatwierdzonych planów będzie odnowiony wielki obraz Jana Henryka Rosena „Hold pasterzy betlejemskich”. Jest to ostatnie jeszcze nie odnowione dzieło Rosena w katedrze i jego renowacja oznacza zakończenie wieloletnich prac związanych z ratowaniem unikatowej polichromii i malowideł tego wybitnego malarza w katedrze. Jest to jedyny obraz J. H. Rosena w tej świątyni namalowany na płótnie, nie na tynku. Zostanie zdjęty ze ściany i umieszczony w specjalnie przygotowanej w katedrze pracowni konserwatorskiej.

Paweł Baranowski również zaznaczył, że w 2019 roku rozpoczynają się prace związane z konserwacją mozaiki w prezbiterium katedry. Mozaika autorstwa krakowskiego profesora Józefa Mehoffera ukazująca Trójcę Świętą została wykonana w Murano pod Wenecją, w słynnych zakładach mozaikowych Antoniego Gianesiego. Mozaika obejmuje olbrzymi centralny obraz Trójcy Świętej w kopule i postaci „Personifikacji cnót” w pendentywach. Cała powierzchnia kopuły, pendentywów, tamburu kopuły, sklepień również pokryta jest mozaiką monumentalną. Prace konserwatorskie przy tych mozaikach zbiegają się w czasie z okrągłą 150. rocznicą urodzin Józefa Mehoffera. Są te prace również wezwaniem dla grupy utalentowanych konserwatorów polskich i ukraińskich, którzy dotychczas wykonywali renowację malowideł ściennych.

W prezbiterium katedry ormiańskiej zostanie wykonana jeszcze jedna bardzo ciekawa praca konserwatorska. Chodzi o rekonstrukcję i konserwację kamiennego ławatarza, czyli chrzcielnicy wykutej z piaskowca prawdopodobnie w XIV wieku. W XVIII wieku, podczas barokizacji wnętrza świątyni została częściowo uszkodzona i zatynkowana. Odnaleziona została w 1925 roku w trakcie prac remontowych i związanych z ustawieniem ołtarza głównego. Ubytków jest bardzo dużo, ale plany konserwacji zostały już przygotowane. Prace związane z rekonstrukcją ławatarza prowadzi Andrzej Kazberuk, konserwator z Warszawy, dobrze znany we Lwowie z wykonania licznych prac w katedrze ormiańskiej i jej otoczeniu. Andrzej Kazberuk i Paweł Baranowski zapewnili komisję, że prace zostaną wykonane do października 2019 roku.



Komisja ekspertów w katedrze ormiańskiej

W Warszawie odbył się III etap III OLIMPIADY HISTORII POLSKI NA UKRAINIE I BIAŁORUSI 2018/19

Do Warszawy na dwuetapowy egzamin przyjechała 19-osobowa grupa młodzieży z Ukrainy i Białorusi. Nagrodą dla laureatów jest indeks na jeden z polskich uniwersytetów państwowych. Wyniki zostały ogłoszone podczas Gali Finałowej, która odbyła się 4 lipca br. w Belwederze z udziałem Agaty Kornhauser-Dudy, małżonki prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Sześciu laureatów III OLIMPIADY HISTORII POLSKI NA UKRAINIE I BIAŁORUSI 2018/19 otrzymało indeksy na polskie uniwersytety.

Podczas dwudniowej sesji egzaminacyjnej w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Historycznego, uczestnicy przystąpili do egzaminu pisemnego oraz ustnego. W komisji egzaminacyjnej zasiadali członkowie Komitetu Głównego Olimpiady składającego się z profesorów państwowych uczelni wyższych oraz przedstawiciele Fundacji Wolność i Demokracja.

Olimpiada Historii Polski na Ukrainie i Białorusi to bezprecedensowe przedsięwzięcie organizowane przez Fundację Wolność i Demokracja we współpracy z Polskim Towarzystwem Historycznym. Projekt skierowany jest do polskiej młodzieży szkolnej (od 15 do 17 roku życia), zamieszkałej i uczącej się na terenie Ukrainy i Białorusi. Celem Olimpiady jest popularyzacja wiedzy o historii Polski wśród młodzieży zamieszkałej i uczącej się poza granicami Polski, rozwijanie zainteresowań historycznych oraz tworzenie warunków do pogłębiania wiedzy i umiejętności uczniów z zakresu historii Polski.

I etap III. Olimpiady Historii Polski na Ukrainie i Białorusi odbył się w dniu 24 listopada 2018 r. o godz. 11:00, w 12 miastach Ukrainy: Charkowie, Chmielnickim, Czerniowcach, Iwano-Frankiwsku, Kijowie, Lwowie, Łucku, Odessie, Równym, Winnicy, Żytomierzu, Kropiwnickim oraz we wskazanym miejscu dla młodzieży z Białorusi. W etapie szkolnym udział wzięło ponad 300 dzieci z trzech ostatnich klas szkół ogólnokształcących. Uczniowie musieli w przeciągu godziny uporać się z testem zawierającym pytania ze wszystkich epok od średniowiecza po współczesność. Do II etapu zostało zakwalifikowanych 79 uczniów, którzy przy-



stąpili do dwuetapowego egzaminu w czterech ośrodkach polonijnych: Ogólnokształcącej Szkole nr 3 im. Marii Magdaleny we Lwowie, Żytomierskiej Obwodowej Młodzieżowej Publicznej Organizacji „ZWIĄZEK SZLACHTY POLSKIEJ”, Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – Dom Polski w Kijowie oraz Polskiej Szkole Sobotniej przy Chmielnickim Oddziale Zjednoczenia Nauczycieli polskich na Ukrainie oraz w Instytucie Historii Uniwersytetu w Białymstoku.

Do III etapu, Komitet Główny Olimpiady pod przewodnictwem prof. dr hab. Andrzeja Korytki, zakwalifikował 21 uczestników.

Nagrodą główną III Olimpiady Historii Polski jest indeks na jeden z polskich uniwersytetów państwowych. W tej edycji do wyboru są indeksy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Lubelskiego im. Marii Curie-Skłodowskiej, Uniwersytetu Opolskiego oraz Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

We czwartek, 4 lipca w Belwederze podczas uroczystej Gali Finałowej zostały ogłoszone wyniki III

Olimpiady Historii Polski, w tym roku Komitet wyłonił 6 laureatów, oraz przyznał specjalne wyróżnienie dla finalistki z Białorusi.

Uczestnicy otrzymali dyplomy z rąk Roberta Czyżewskiego, prezesa Fundacji Wolność i Demokracja oraz nagrody od małżonki prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Agaty Kornhauser-Dudy, indeksy wręczył laureatom prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, prof. dr hab. Krzysztof Mikulski, dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN Adam Hlebowicz przekazał nagrody nauczycielom przygotowującym uczniów do Olimpiady.

Lista laureatów III Olimpiady Historii Polski 2018/2019:

Miejsce 1: Danuta Stefanko, uczennica Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankiwsku
Miejsce 2: Anna Gliwińska, uczennica Kulturalno-Oświatowego Centrum Polskiej Mniejszości Narodowej w Połonnym

Miejsce 3: Daria Czudnowska, uczennica Polskiej Sobotniej Szkoły

w Kijowie przy Związku Polaków na Ukrainie

Miejsce 4: Świętosław Żdaniuk, uczeń Ośrodka Kultury i Tradycji Polskich w Żytomierzu

Miejsce 5: Helena Kurnicka, uczennica szkoły nr 10 im. Marii Magdaleny oraz Maksym Marczenko, uczeń Polskiej Szkoły Sobotnia przy ZNP.

Finałiści III Olimpiady Historii Polski 2018/2019:

Andrzej Basiuk, Kijów Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie „Dom Polski”

Illa Buszmeliow, Centrum Rozwoju i Partnerstwa „Polonia” w Winnicy
Włodzimierz Didkowski, Żytomierskie Polskie Centrum Edukacji i Nauki
Danuta Grabowska, Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankiwsku
Władysław Hedz, Kulturalno-Oświatowe Centrum Polskiej Mniejszości Narodowej w Połonnym
Edward Jakubowicz, szkoła nr 10 im. Marii Magdaleny

Mariusz Sawicki; przedstawiciele Kancelarii Prezydenta RP minister Adam Kwiatkowski oraz dyrektor Biura Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą Jan Badowski, dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN Adam Hlebowicz, dyrektor Biura Polonijnego Kancelarii Senatu RP Grzegorz Soroczyński, przedstawiciele Fundacji Wolność i Demokracja: prezes Robert Czyżewski, sekretarz Lila Luboniewicz, Anna Plichta, Małgorzata Jastrzębska oraz Anna Śmigielka – sekretarz Olimpiady.

Grupa młodzieży przyjechała do Polski z nauczycielami historii, którzy w trakcie egzaminów uczestniczą w metodycznych warsztatach doszkalających. Po egzaminach i intensywnym programie w Warszawie, grupa udała się w objazd historyczny po Polsce, co jest dodatkową nagrodą dla uczestników III etapu Olimpiady i ich nauczycieli.

Olimpiada organizowana jest zgodnie z polskimi aktami prawnymi, w tym z ustawą z dnia 7 września 1991 r. o systemie oświaty (Dz. U.



Paweł Ładońko, Polska Sobotnia Szkoła w Kijowie przy Związku Polaków na Ukrainie

Alina Pałamarczuk, Związek Polaków „Jedność” ze Żmerynki

Katarzyna Szmorgun, Związek Miłośników Kultury Polskiej na Połtawszczyźnie

Katarzyna Wozniczka, Związek Polaków na Ukrainie Oddział im. A. Mickiewicza w Odessie

Agłaja Zubryczewa, Stowarzyszenie Polaków „Polonia” im. K. Szymanowskiego w Kropiwnickim
Uczestniczka z Białorusi.

Po zakończeniu części oficjalnej wszyscy obecni kontynuowali spotkanie na tarasie Belwederu, gdzie była możliwość bezpośrednich rozmów oraz zdjęć z Pierwszą Damą oraz pozostałymi gośćmi.

W uroczystości udział wzięli z ramienia PTH: prof. dr hab. Krzysztof Mikulski, dr hab. Piotr Bednarz, dr hab. Andrzej Korytko, dr hab. Barbara Krzysztofa-Czupryńska, dr hab.

1991 nr 95 poz. 425 z późniejszymi zmianami) oraz rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej i Sportu z dnia 29 stycznia 2002 r. w sprawie organizacji oraz sposobu przeprowadzania konkursów, turniejów i olimpiad (Dz. U. 2002 nr 13 poz. 125 z późniejszymi zmianami).

Olimpiada jest działaniem projektu Fundacji WiD „Polskie Echa – wspieranie nauki historii Polski na Świecie” współfinansowanego przez Senat RP w ramach sprawowania opieki Senatu RP nad Polonią i Polakami za granicą w roku 2018 i 2019.

Olimpiada organizowana jest w ramach projektu Fundacji WiD Polskie Echa współfinansowanego przez Senat RP w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą.

Anna Śmigielka
sekretarz Olimpiady Historii Polski
2018/2019



Awaryjny stan budynków dawnej lecznicy doktora Apolinarego Tarnawskiego

Wywiad z OKSANĄ SUKANEC, nowym dyrektorem „Sanatorium Kosów”: „Myślę, że koniecznie trzeba zrobić muzeum. Dlaczego? Dlatego, że to będzie baza wiedzy dla przyszłych pokoleń”. Rozmawiała NATALIA TARKOWSKA.

Słynny niegdyś Zakład Przyrodoleczniczy doktora Apolinarego Tarnawskiego po II wojnie światowej został przekształcony w sanatorium dla dzieci. Taką funkcję pełni do dziś. Pomimo tego, wieloletnie zaniedbania spowodowane brakiem środków finansowych, doprowadziły do degradacji zabytкового założenia parkowo-ogrodowego oraz do katastrofalnego stanu unikalnej architektury.

Palącym problemem jest awaryjny stan dawnych łaźni, jednego z najbardziej imponujących budynków dawnej lecznicy. Po utracie szklanego dachu, od lat systematycznie popadają w ruinę. Ministerstwo Ochrony Zdrowia Ukrainy w obawie o zdrowie przebywających tam dzieci wydało nakaz wyburzenia łaźni, które nie są wpisane do rejestru zabytków. Rozpoczęta rozbiórka została wstrzymana dzięki reakcji kosowskich władz. Jednak zdążono usunąć drewnianą werandę okalającą budynek. Tymczasowo zaniechano rozbiórki, ale nad łaźniakami wciąż wisi miecz Demoklesa. Konieczne jest znalezienie środków finansowych, które zabezpieczą ruinę stwarzającą

bo pochodzę z obwodu iwanofrankiwskiego. Kosowszczyzna to iwanofrankiwski obwód. Rodzice bardzo często ze mną podróżowali i przekazywali mi miłość do naszych Karpat. Takim sposobem jako dziesięcioletnie dziecko pierwszy raz przybyłam na Kosowszczyznę. Ten region ogromnie mi się spodobał, nie tylko dlatego, że posiada piękną przyrodę, ale dlatego, że mieszkają tu bardzo mili ludzie. Są naprawdę szczerzy i dobrzy. To miejsce robi na mnie duże wrażenie. Bywałam tu w dzieciństwie z rodzicami, a później już ze swoimi dziećmi, bo mam trzech synów. Wypoczywaliśmy, chodziliśmy nad rzekę Rybnicę. Tutaj jest bardzo zacisznie i spokojnie. Kosów nie tylko ma wspaniałe warunki klimatyczne, ale odczuwa się tu pozytywną energię, swoisty magnetyzm tego miejsca. Bardzo polubiłam to miejsce. Dlatego, gdy zrodziło się pytanie o moją dalszą karierę zawodową i kiedy usłyszałam, że w Internecie ogłoszono konkurs na posadę głównego lekarza kosowskiego sanatorium, to mając w pamięci pozytywne wspomnienia i wrażenia z dzieciństwa z tego regionu, pomyślałam, że chciałabym tu przyjechać i pracować. Zapaliłam się tym pomysłem. Powiedziałam swojemu mężowi: „Wiesz, gdyby była taka możliwość w Jaremczu, czy w Bukowelu, to nie chciałabym tam startować”. Dlatego nie obawiałam się startować w konkursie i przyjechać tu z innego miasta, bo bardzo komfortowo się tu czuję.



Natalia Tarkowska (od lewej) i Oksana Sukanec

leczniczy jeszcze przed I wojną światową. Po latach pracy w jego głowie zrodził się pomysł, by przenieść swoją lecznicę na Monastyrsko, a w tym miejscu utworzyć Fundację dla dzieci i młodzieży. Nie zdążył tego zrobić, a jego rodzina musiała opuścić Kosów w obawie o swoje życie. Tak się jednak stało dopiero po wojnie...

Nasze sanatorium specjalizuje się w leczeniu dzieci. Wówczas doktor Tarnawski leczył dorosłych, ale czasy się zmieniły i teraz leczymy tutaj dzieci. Jednak myślę, że w przyszłości sanatorium może otworzyć się także na dorosłych np. będą tu mogły przyjeżdżać matki z dziećmi. Specjalizujemy się nie tyle w leczeniu, ile bardziej w dochodzeniu do pełnego zdrowia. Dzieci, które u nas przebywają są praktycznie zdrowe, pomagamy im jedynie w dojściu do doskonałej formy zdrowotnej poprzez klimatyczne leczenie.

Wielką wartością sanatorium jest jego dendrologiczny park. Ponad rok temu na moją prośbę do lecznicy udała się Tetiana Prikladivska – doktor nauk rolniczych, inżynier pierwszej kategorii Botanicznego Sadu Narodowego Uniwersytetu Leśnictwa Ukrainy. Zbadała ona stan drzew w tułejszym parku. Stwierdziła, że drzewostan ten jest unikalny w skali całej Ukrainy.

Zależy mi na tym, abyśmy nauczyli się poprawnie dbać o ten park. Minęło sto lat od zasadzenia tych drzew. Wszystkie te drzewa potrzebują opieki i nadzoru nad ich stanem. Chciałabym nawiązać współpracę z ludźmi, którzy nauczą nas prawidłowo zajmować się tym parkiem i pomogą nam w jego rewitalizacji.

Warto podkreślić, że stan parku jest bardzo istotny w kontekście leczenia. Doktor Tarnawski leczył swoich pacjentów między innymi za pomocą hortiterapii. Rośnie

tu wiele gatunków drzew mających dobroczynny wpływ na ludzki organizm. Mieszkańcy Kosowa do tej pory przychodzą do parku i zbierają nasiona, liście lub owoce tych drzew.

Rzeczywiście jest to bardzo piękny i wartościowy park. Sądzę, że wpływa on korzystnie na leczenie dzieci z problemami w oddychaniu, z chorobami płuc. Są tu okazałe drzewa iglaste, modrzewie i wiele innych, więc nie tylko klimat, ale nasadzenia tego parku mają pozytywny wpływ na proces uzdrawiania pacjentów.

Jestem bardzo rada, że jest Pani otwarta na współpracę i że ma Pani świadomość wartości tego miejsca. Pożądanym byłoby otworzyć ten teren dla turystów. Chciałabym zapytać, co Pani myśli o utworzeniu muzeum w budynku dawnej jadalni?

Myślę, że koniecznie trzeba zrobić muzeum. Dlaczego? Dlatego, że będzie to baza wiedzy dla przyszłych pokoleń. Żeby człowiek mógł przyjść, zobaczyć i poczuć energetykę tego miejsca. To najpiękniejsze co można zrobić. Kiedy człowiek przychodzi do muzeum, przejmując się odczuciem, że w tym miejscu ktoś żył przed nami, że była tu jakaś kultura i toczyły się procesy uzdrowienia. Móc zobaczyć te budynki na własne oczy, to coś pięknego. Z zadowoleniem przyłączę się do idei powstania muzeum dla turystów i mieszkańców Kosowa.

Kiedy spotykałam się ze świadkami historii, często podkreślali, że placówka ta miała ogromny wpływ na rozwój życia kulturalnego miasta i okolic. Warto, by w przyszłości sanatorium nawiązało do przedwojennej tradycji, stając się ważnym ośrodkiem kultury promieniującym na cały powiat. Tak, aby każdy mógł zaczerpnąć dla siebie z tego miejsca coś wartościowego.

Będziemy nad tym razem pracować (śmiech).

Mam nadzieję, że tak będzie. Serdecznie dziękuję za rozmowę.



Sanatorium „Kosów”

niebezpieczeństwo dla dzieci przebywających na kuracji.

Nadzieję na poprawę tego smutnego losu przyniosła zmiana na stanowisku dyrektora „Sanatorium Kosów”. Nowa dyrektorka, Oksana Sukanec, jest osobą otwartą na współpracę i przy pomocy ze strony Polski chętnie podejmuje się ratowania dziedzictwa doktora Apolinarego Tarnawskiego. Wywiad został przeprowadzony w maju 2019 r., niespełna trzy miesiące po tym jak Oksana Sukanec objęła urząd dyrektorki placówki.

Proszę powiedzieć, kiedy pierwszy raz usłyszała Pani o Kosowie i lecznicy doktora Apolinarego Tarnawskiego i jak to się stało, że zainteresowała Panią to miejsce.

Pierwszy raz usłyszałam o tym miejscu będąc jeszcze dzieckiem,

Jak widzi Pani przyszłość tego miejsca, jakie są Pani plany odnośnie rozwoju sanatorium?

W pierwszej kolejności chciałabym zadbać o historyczno-kulturowe dziedzictwo swojego kraju. Doskonale rozumiem, że założycielem tego miejsca był lekarz Apolinary Tarnawski, że był Polakiem. Chciałabym podtrzymać dobre stosunki ukraińsko-polskie, dawać możliwość poznawania ukraińskiej kultury i kultury stworzonej przez Polaków. Jestem za tym, aby między naszymi narodami nastąpiło pojednanie, żeby nasze dzieci odziedziczyły w spadku to dziedzictwo kulturowe. Żeby to się mogło stać, my musimy o nie zadbać i wzbogacić je kulturowo oraz materialnie.

Doktor Tarnawski otworzył swój Zakład Przyrod-



Stan sprzed rozbiórki, 2016 rok

Jak Polacy Charków budowali (cz. LIII)

Polacy na służbie policji charkowskiej do 1917 roku

Zachowaniem porządku i ładu w społeczeństwie zawsze zajmowała się policja. Początki działalności policyjnej na terenie carskiej Rosji sięgają XV–XVI wieku, po utworzeniu jedynego państwa, kiedy to z Moskwy do różnych miast, gdzie mnożyły się rozboje i grabieże, byli wysyłani odpowiedni śledczy.

MARIAN SKOWYRA

Strukturalne formy policyjne zostały utworzone dopiero przez cara Piotra I. To właśnie on odpowiednim rozporządzeniem od 7 czerwca 1718 roku ustanowił w Petersburgu pierwszego generała policmajstra. Od 1733 roku policyjne grupy zostały utworzone w większych miastach imperium, w tym także w Charkowie, a wszystkie komisariaty podlegały głównej komendzie w Petersburgu.

W Charkowie Zarząd Charkowskiego Policmajstra znajdował się przy skwerze Mikołajowskim 24, któremu podlegało 6 posterunków policji rozsianych w poszczególnych dzielnicach miasta. Na szóstym posterunku, znajdującym się przy ulicy Jekaterynosławskiej, od 1902 roku na wzór Kijowa i Odessy działał Wydział Śledczy. W Zarządzie Charkowskiego Policmajstra w latach 1894–1898 na stanowisku sekretarza zarządu policji pracował Polak – Kazimierz Bortkiewicz syn Juliana, który wcześniej miał pracować w Charkowskim Gubernialnym Zarządzie. Należy przy tej okazji zauważyć, że w Charkowie mieszkał również jego brat Edward – właściciel kilku fabryk na terenie guberni charkowskiej. On też mieszkał w mieście na stałe, do śmierci w 1912 roku. Miał żonę Zofię oraz synów: Włodzimierza i wspomnianego już Sergieja. Ponadto w rodzinie Bortkiewiczów było dwie córki: Eugenia i Wiera.

Brak szczegółowych wiadomości na temat działalności w Charkowie Kazimierza Bortkiewicza, poza tym, że 28 marca 1898 roku złożył podanie o zwolnienie z zajmowanego stanowiska Sekretarza Zarządu

Następnie od 10 maja 1832 roku został zatrudniony w miejscowym sądzie, gdzie pozostawał do 10 sierpnia 1839 roku. O nim wiadomo, że był aktywnym członkiem polskiej kolonii. W 1829 roku wszedł w skład pierwszej rady kościoła przyszłej rzymskokatolickiej parafii w Charkowie, której przewodniczącym został rektor miejscowego uniwersytetu prof. Andrzej Dudrowicz. Ponadto w skład rady weszli wówczas profesor Krynicki, oficerowie w stopniu majorów: Prelat i Donejkiewicz, rotmistrz Plechniewicz, podpułkownik Okinczyc, miejscowy obywatel Za-



bp Cieplak w podczas wizytacji w Połtawie

jęckowski, dwóch zegarmistrzów Kaltentbach i Wiklas oraz krawiec Roslaniewski. Wszyscy oni zabiegali o przysłanie do Charkowa na stałe kapłana oraz gromadzili środki na budowę świątyni.

Wiadomo, że Konstanty Słoneczewski miał żonę Zofię oraz sześcioro dzieci: Mikołaja (1841–?) Mytrofana (1842–?), Elżbietę (1843–?), Zofię (1844–?), Marię (1846–?) i Tatianę (1848–?). Po odejściu ze służby państwowej Słoneczewscy zamieszkali w okolicach Lebedina, gdzie 30 maja

w „Charkowskim Kalendarzu” z 1874 roku zachowała się wiadomość, że od listopada 1872 roku pomocnikiem naczelnika I rewiru policyjnego miasta był Adolf Czyżewski s. Andrzeja. Niniejszy policjant urodzony w 1842 roku miał uzyskać wykształcenie w bliżej nieznanej szkole powiatowej. Od 1900 roku w III rewirze policyjnym naczelnikiem policji był Władysław Domaradzki.

Niestety brak wiadomości o szeregowym składzie osobowym Polaków w charkowskiej policji, których głównym celem było zachowanie porządku w mieście oraz wyjawianie

tuacjach problem, z powodu braku kadr policyjnych, przez dłuższy czas pozostawał nierozwiązany. Policjanci byli też wzywani do przypadków samobójczych, które zwłaszcza na początku XX wieku mnożyły się w Charkowie.

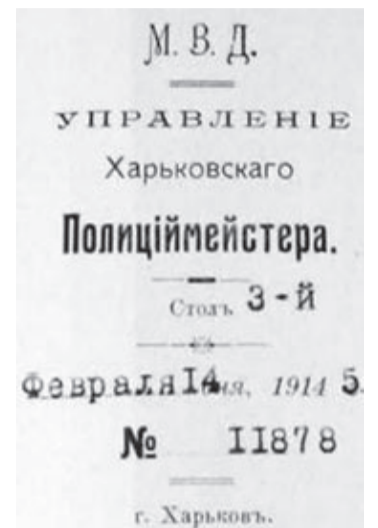
Mimo tak częstych i niezbędnych interwencji policyjnych sami policjanci nie cieszyli się szacunkiem społeczeństwa, co wynikało z braku profesjonalizmu w działaniu. Mimo że w stolicy Imperium uchwalano nowe reformy, rzeczywistość w miastach gubernialnych okazywała się znacząco odmienna. Tak „Birżewyje Wiedomości” pisały o charkowskiej policji: „Przestępcze elementy terrorowały Charków. Grabieże i zabójstwa stały się powszechnym zjawiskiem. Policja nie jest w stanie niczemu przeciwdziałać. Miejsce ani czas nie ratują mieszkańców przed grabieżą. Policjanci zostali nabrani z przypadkowego elementu, w większości nie potrafią nawet posługiwać się bronią. Wypuszczeni z więzień przestępcy czują się wspaniale”.

Całkowicie czymś nowym było powołanie na terenie carskiej Rosji tajnej policji zwanej „Ochraną”. Była to struktura „o charakterze mafijnym, licząca dziesiątki tysięcy pracowników, agentów i informatorów, inwigilująca wszystkich obywateli, włącz-

wszelkiego rodzaju dywersji. Relacje z poszczególnych lat przynosiły rozliczne dane o działalności tutejszej policji. O różnych sytuacjach już wspomniano w poprzednich opracowaniach. Jednak na niektóre warto zwrócić uwagę, choć nie dysponując wykazami zwykłych szeregowych policjantów, poza Słoneczewskim, nie można wskazać jednoznacznie na przebywanie w jej szeregach polskiego elementu, jednak nie należy tego wykluczać, z racji przebywania Polaków na kierowniczych stanowiskach tej struktury oraz istniejącej tu znacznej kolonii polskiej, której członkowie należeli do wszystkich warstw społeczeństwa.

Tak oto na początku XX wieku w Charkowie zaobserwowano młodego człowieka w urzędniczym stroju, który miał sprzedawać fałszywe paszporty i inne dokumenty. Po trzech dniach obserwacji udało się zatrzymać podejrzanego w miejscowym barze „Kazbek” przy ulicy Dmitrijewskiej. Innym razem „Kurier Warszawski” z 17 listopada 1902 roku podawał, że w Charkowie „aresztowano bandę złożoną z 7 ludzi trudniącą się kradzieżą koni z morderstwami”.

Nie zawsze policja z braku kadr mogła być tak skuteczna w działaniu. Tak, dla przykładu, na jednym z miejscowych cmentarzy mieli osiąść chuligani, którzy zajmowali się kradzieżą i wprowadzali w mieście niepokój. Tzw. miejscowe „Rakły” przez wiele lat terrorowały ludność miasta i sprzedających na bazarach. W 1910 roku w Skoblewskim Skwerze tuż nieopodal siedziby sądu, młodociani chuligani mieli w nieprzyzwoity sposób zaczepiać przechodzące tam kobiety. We wszystkich tych sy-



To właśnie Ochrań pełniła nadzór policyjny nad niewygodnymi jednostkami politycznymi. Tajnym nadzorem policji zostali objęci niemal wszyscy obywatele: prości rolnicy, duchowieństwo, lekarze, pracownicy fabryk, szlachcice, architekci, a nawet studenci i gimnazjaliści. W Archiwum Charkowskiego Województwa zachowało się sporo protokołów i wiadomości sporządzonych przez donosicieli. Najbardziej jednak poddawano szpiegowaniu mniejszości narodowe mieszkające w Charkowie, w tym także Polaków. Z każdej inwigilowanej grupy policja wybierała donosicieli.



„...27 września na cześć przybywającego tutaj katolickiego biskupa Cieplaka duchowieństwo wywiesiło przed kościołem flagi narodowe. Jednak na prośbę administracji flagi zostały zdjęte”

nie z carską rodziną, i prześladowająca wszystkich, którym nie podobały się samowładne rządy w Rosji. Ochrań była wszędzie i rządziła wszystkim. Była ponad prawem i poza prawem, nieuchwytna i anonimowa. Sam fakt jej istnienia wywoływał strach wśród poddanych. System donosicielstwa i wzajemnego szpiegowania ogarnął wszystkie warstwy społeczne w Rosji, przy czym dążono do tego, aby donosicielstwo stało się nie przedmiotem pogardy, lecz dumy”. Ten cel zrealizowano zwłaszcza od wybuchu I wojny światowej do końca okresu komunistycznego, kiedy to każdy mógł okazać się szpiegiem oraz zagrożeniem jedności i suwerenności państwa.

Najbardziej interesującym tego typu działaniem było poddanie szpiegowaniu wizytacji biskupiej w Charkowie bpa Jana Cieplaka, który przebywał w mieście od 27 do 30 września 1911 roku. Należy zauważyć, że Jan Cieplak wcześniej na wizytacji biskupiej w Charkowie w 1892 roku był obecny jako kapłan.

Przyczyną szpiegowania hierarchii miała stać się wizytacja w Mińsku w 1910 roku, gdzie biskup ominął w modlitwie carską rodzinę, krytykował działania cerkwi prawosławnej oraz nie zabraniał wywieszania białoczerwonych flag na domach oraz miejscowych kościołach. W obawie przed podobnymi „dywersjami” w Charkowie postanowiono nie „utrud-



Charków, policja ściga chuliganów

Policji. „Pamiętna Książka Charkowskiej Gubernii” z 1862 roku również podawała, że na analogicznym stanowisku w Zarządzie przebywał kolejny Polak, niejaki Aleksander Winiarski s. Adama.

Znacznie więcej informacji zachowało się o policjancie z Charkowa Konstantym Słoneczewskim synu Jana (1810-?), który w policji pracował od 9 sierpnia 1829 roku.

1852 roku otrzymali potwierdzenie szlacheckiego pochodzenia.

W 1868 roku stanowisko naczelnika policji w podcharkowskim Lebedinie objął kolejny Polak Piotr Goroch, który do charkowskiej guberni przybył w randze majora, jako były oficer armii carskiej.

Pod koniec XIX wieku w Charkowie na poszczególnych posterunkach policji również pracowali Polacy. Tak

Inne końce świata. Sopot

Sopot. Niegdyś modny kurort należący do Wolnego Miasta Gdańska. Aby dojechać tu ze Lwowa, trzeba zarezerwować sobie dwa dni – postój na granicy, potem jazda przez pół Polski przez wsie i miasteczka. Drugą połowę trasy można pokonać autostradą.

KATARZYNA ŁOZA
tekst i zdjęcia

Trudów podróży nie wynagradza pogoda. Po lwowskich 30-stopniowych upałach wita nas 18 stopni i deszcz. Z balkonu pięknej willi w stylu art deco, w której wynajmujemy pokój widać jednostajną szarość, morze zlewa się w jedno z burzowymi chmurami. Mogę sobie wyobrazić, że sto z górką lat temu, w „pięknej epoce” odzianym w gorsety damom taka pogoda była nawet bardziej w smak. Do kąpieli w średnio lodowatym Morzu Bałtyckim raczej niezbyt je ciągnęło, podobnie jak mnie. Wystarczy spacer po molo, bo eleganckie buciki nie były przystosowane do spacerów po piaszczystych plażach.

Okolica jest piękna i zachęca do przechadzek. Wzdłuż wybrzeża można spacerować lub jeździć na rowerze. Na placu przed wejściem na molo ruch i gwar, stoiska z bursztynem, kawiarnie, kramy z pamiątkami. Na samo molo wstęp płatny, kolejka do kasy. Rezygnujemy, idziemy dalej. Wrócimy tu dopiero po zmroku, kiedy molo opustoszeje. Nie mogę sobie



a niektórzy uważają, że także Hitler. Przywódca nazistowskich Niemiec rzeczywiście zatrzymał się w Grand Hotelu we wrześniu 1939 r., aby być blisko działań wojennych. Do legend należy natomiast zaliczyć opowieści, jakoby na jego przyjazd inkrustowano parkiet małeńkimi swastykami.

nieco skrzypiącego parkietu i tego prawie nieuchwytnego zapachu minionych lat, aby, jak pisała Osiecka, można było „na szklanki pustym dnie obejrzeć stary film – o ludziach, co we mgłę, o czasie, który był”.

Sopot to jednak przede wszystkim wille. Niektóre należały do bogatych gdańszczan, którzy spędzali tu letnie miesiące, ale część osób mieszkała w Sopocie na stałe.

Aby obejrzeć architekturę uzdrowiska warto wyjść poza słynny „monciak” – głośny deptak prowadzący do mola i zagłębić się w uliczki między Grand Hotelem a torami kolejowymi. Tu panuje cisza i spokój, niemal nie widać turystów. Prawie każdy dom zdobi drewniana weranda z charakterystycznymi dla europejskich uzdrowisk balustradami wycinanymi w koronkowe wzory. W bogatszych domach i willach można dostrzec elementy rzeźbione, górujące nad okolicą wieże, witraże w oknach. Chętnie wykorzystywana jest czerwona cegła i mur pruski, a wysokie dachy kryją nierzadko dwa piętra.

Jedną z najstarszych zachowanych letnich rezydencji sopockich jest dworek Sierakowskich. To typowa

dla dawnej Rzeczypospolitej siedziba szlachecka, parterowa, przestronna, z wysokim dachem pokrytym dachówką, drewnianymi okiennicami w oknach. We wnętrzu zachowało się sporo oryginalnych detali – dekoracje architektoniczne, stiuki, malowidła, okucia, XVIII-w. okrągłe piece kaflowe, które, choć nie działające,



stanowią prawdziwą ozdobę dworku. Swój kształt zawdzięcza Kajetanowi Sierakowskiemu, posłowi na Sejm Czteroletni, który pod koniec XVIII w. został właścicielem nieruchomości. Na zaproszenie syna hrabiego gościł tu Fryderyk Chopin. Dziś odrestaurowany dworek jest siedzibą Towarzy-

stwa Przyjaciół Sopotu, odbywają się tu wystawy, koncerty, działa kameralna kawiarnia „Młody Byron”. Dworek można również wynająć na wesele lub inną uroczystość rodzinną.

Najciekawsze z sopockich willi stoją puste i zaniedbane. To dodaje im tajemniczości i otacza specyficzną atmosferą. Pierwsza, która zwróciła moją uwagę, to znajdująca się przy ul. Obrońców Westerplatte klasycystyczny pałacyk Bergera. Johann Berger był gdańskim radcą handlowym, a willa służyła mu za letnią rezydencję. Po wojnie była siedzibą stowarzyszenia plastyków. Dziś wygląda na niezamieszkałą i domaga się remontu. Widoczny zza bujnej, dzikiej zieleni ogrodu ganek ozdobiony alegorycznymi figurami i pusta fontanna stwarzają wrażenie tajemnicy i niebezpieczeństwa, pierwsze skojarzenie – to miejsce byłoby doskonałym plenerem dla filmu grozy. I rzeczywiście, w latach 80. nakręcono tu film „Medium”, podobno jeden z najlepszych polskich horrorów, osadzony w realiach lat 30. i rosnącej popularności nazistów.

Nieopodal kolejna opuszczona willa z wysoką wieżą, przypominająca średniowieczne zamczysko. Dziś



przypomnieć, czy byłam już kiedyś na sopockim molo, czy jest ono tak popularne w opowieściach, że tylko wydaje mi się, że tam byłam?

Kawałek dalej stoi okazały gmach Hotelu Grand, wybudowany w 1927 roku. To o nim Agnieszka Osiecka pisała:

„Złocistych okien sto patrzyło z brzegu, gdy
Na plażę wybiegł ktoś
po zeszłoroczne łyż.
Najbielsze z białych mew
spadały do stóp mi
Anioły prosto z chmur
do balkonowych drzwi”.

Hotel ma za sobą kawał historii i widział niejedną znamienitość, jego osią są wielkie, spiralne schody, a zaraz za foyer znajduje się wejście do restauracji o nazwie art deco z widokiem na morze i odpowiednim wystrojem – to styl panujący w Europie, kiedy powstawał hotel, styl szczególnie ulubiony przez bogatych fabrykantów i bywałych w świecie kupców, a tacy stanowili większość klientów hotelu. Szczególną legendą owiany jest apartament nr 226, w którym nocował Charles de Gaulle,

To właśnie tu mieszkała po wojnie spora grupa lwowian, którzy, wypędzeni ze swojego miasta nie chcieli uwierzyć w nowy porządek w Europie i czekali na zmianę granic.

Hotel jest piękny i nowoczesny... może zbyt nowoczesny. Brak mu



także stoi opuszczona, otoczona zaniedbanym parkiem z wiekowymi drzewami. Umiejscowiona na uboczu, kryje się przed wzrokiem przypadkowych przechodniów. Przed wojną była domem Haralda Kocha, konsula duńskiego w Gdańsku. W 1934 r. konsul poślubił swoją sekretarkę, córkę kupca osiadłego w Sopocie, Ruth Claaszen. Mimo dużej różnicy wieku małżonkowie spędzali razem wiele czasu, na zachowanych zdjęciach są uśmiechnięci i wyglądają na szczęśliwych. Sielankę przerwała śmierć Kocha, zaledwie dwa lata po ślubie. O losach Ruth i jej rodziny można posłuchać w Muzeum Sopotu – jego siedziba położona przy nadmorskiej promenadzie to dawna willa Claaszenów, rodzinny dom Ruth.

Poznając rodzinne historie mieszkańców Sopotu nie myślę o tym, czy to było „nasze” i czy oni byli „z nami” czy „przeciwko nam”, a jedynie, jak szczęśliwe i tragiczne wydarzenia spłoty się w jedno. Tym bardziej przykro usłyszeć na sopockim deptaku z ust pijanego „patrioty” pouczającej uwagi, aby rozmawiać po polsku, bo jesteśmy w Polsce.

Jak sprytni Polacy rewolucyjną literaturę wozili i co z tego wynikło

Kilka kilometrów od Gródka Podolskiego (znanego również jako Mała Warszawa) w obw. chmielnickim leży niewielka lecz malownicza wieś (niegdyś miasteczko) Kupin. Turystom bardzo odpowiada, że większość turystycznych „rodzynek” ulokowana jest na niewielkim terenie, więc nie trzeba wiele chodzić i wciąż pytać: „Jak dojechać do...?” Wszystko jest w zasięgu wzroku...

DMYTRO POLUCHOWYCZ
tekst i zdjęcia

Obok wjazdu do miejscowości, tuż przy samej drodze wznosi się płaskowyż, otoczony kamiennym murem. Jest to stary żydowski cmentarz z XVIII-XX wieków. Jest interesujący sam w sobie: wiele nagrobków, szczególnie tych najstarszych, udekorowane są splotami bardzo pięknej rzeźby. To nie wszystko. Dobrze jest widoczne, że teren nekropolii otoczony jest potężnymi wałami i fosami. Około XVII wieku na tym terenie, nadającym się do obrony, były drewniano-ziemne fortyfikacje, chroniące ludność Kupina przez najazdami Tatarów. Niewielka forteca miała nawet jedną murowaną wieżę – jej podstawę można zobaczyć od strony drogi. Wieża ta przetrwała do początku XX wieku aż w sąsiedztwie zaczęto wznosić młyn i rozebrano ją na budulec.



O kilka metrów od tego cmentarza-fortecznego płaskowyżu stoi stary most w kształcie arki. Miejscowi nazywają go „tureckim”, gdyż uważa się, że wzniesi go Turcy, gdy panowali na Podolu. Tymczasem został wybudowany w połowie XVIII wieku. Jest to jeden z trzech najstarszych mostów na Ukrainie, do dziś intensywnie eksploatowany.

Przepłynąwszy pod mostem, rzeka Smotrycz za około sto metrów tworzy niemałych rozmiarów wodospad, znany tu pod nazwą „Szum”. Do niedawna był to największy wodospad w obwodzie chmielnickim, ale gdy w starym młynie zbudowano elektrownię wodną, część wody skierowano do niej.

Po przeciwnej stronie tamy stoi stary młyn. Na jego fasadzie widnieje data 1455, ale jest to wymysł lokalnych krajoznawców. W rzeczywistości wybudowano go na początku XX wieku, połową zaś XV wieku datuje się jedynie wzmianka o młynie w tej miejscowości (co wcale nie znaczy, że stał w tym miejscu). Historia młyna odzwierciedla całą skomplikowaną i tragiczną historię XX wieku.

Pod koniec XIX wieku w Kupinie był młyn, tyle, że przestarzały i prymitywny. W tamtych czasach młyny były dla mieszkańców miejscowości szczególnie ważnymi obiektami. Wokół nich koncentrowało się życie, przynosiły też znaczny dochód swemu właścicielowi.

Autorowi nie udało się wyjaśnić, kto pierwszy wpadł na pomysł budowy młyna, ale na początku XX wieku tę myśl poparli mieszkańcy miasteczka. Powstała wówczas nawet swego rodzaju spółka akcyjna – niemałe fundusze na jego budowę wniosły wszystkie zgromadzenia religijne miejscowości: Ukraińcy, Polacy i Żydzi. Wyposażenie zakupiono nie byle jakie, lecz najlepsze, jakie udało się zdobyć – szwajcarskiej firmy „G. Daverio”. Gdy mieszkańcy miasteczka wspólnymi siłami wznosili tamę i stawiali mury młyna, delegacja udała się do Zurichu.

Swego czasu autorowi, zupełnie przypadkowo, udało się porozmawiać z wnukiem Juliana Kitlińskiego, jednego z tych, którzy jeździli do Szwajcarii po wyposażenie młyna.

– Mój dziadek był w tej grupie asystentem skarbnika – opowiada Oleksy Kitliński. – Był też tłumaczem, bo znał doskonale język niemiecki,

który obok pięciu innych studiował w gimnazjum. Julian Kitliński i jeszcze kilku mężczyzn pozostali w Szwajcarii na szkoleniu w jednym z młynów. Mieli dokładnie zapoznać się z funkcjonowaniem wszystkich części młyna, by później umieć własnoręcznie zmontować urządzenie oraz obsługiwać je w Kupinie.

W tych czasach Zurich upodobał sobie rosyjscy rewolucjoniści, wobec czego ich spotkanie z kupcami z Kupina okazało się nieuniknione. – Według rodzinnych przekazów nasi rodacy poznali nawet Lenina – zaznaczył pan Oleksy. Gdy delegacja wyjeżdżała z urządzeniami młyna – a było tego kilka wagonów – do Kupina, rewolucjoniści zaproponowali, by zabrać ze sobą trochę nielegalnej literatury. Ale posłano ich... – no wiadomo, gdzie.

W tym czasie dwóch sprytnych Polaków i mój dziadek zorientowali



się, że można na tym nieźle zarobić, bowiem przeciwnicy caratu obiecali sowitą zapłatę – wspomina Oleksy Kitliński. – W tajemnicy przed innymi zapakowali do skrzyń gazety, książki i broszury. Rewolucjoniści byli bardzo zadowoleni i nie skąpili grosza – wagony to przecież nie jakieś tam zwykłe walizki z podwójnym dnem.

Gdy wagony dotarły na stację Dunajowce, najbliższej do Kupina, po przekazaniu literatury odbiorcy, jeszcze długo jej egzemplarze znajdowano w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. A cieszyła się ona nie byle jakim popytem. Nie z powodu treści, druków tych bowiem nikt nie czytał, ale Ceniono ją, ponieważ drukowana była na cienkiej bibułce, wielce przydatnej do kręcenia papierosów. Jeszcze przez ponad pięć lat mężczyźni kopcili skrety w resztkach „rewolucyjnej bibuły”.

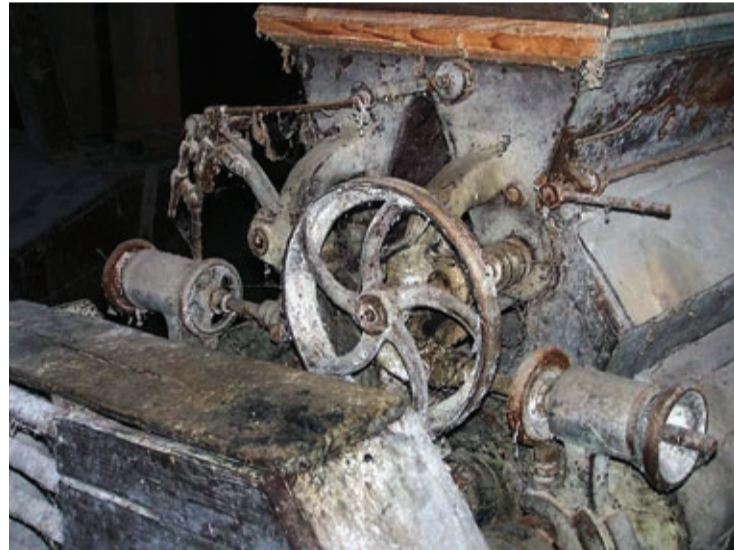
Gdy już zmontowano całe urządzenie młyna, okazało się, że jest to swego rodzaju nowoczesne centrum techniczne. Oprócz właściwego urządzenia młyna, pozwalającego na otrzymanie 16 rodzajów mąki i około 20 rodzajów krup, turbina za-



siłała tokarkę, frezarkę i wiertarkę, a ponadto turbinę elektryczną. Więc już na początku XX wieku Kupin jaśniał światłem elektrycznym.

W latach 20. historia z rewolucyjną kontrabandą otrzymała niezwykle ciąg dalszy. Julian Kitliński został niebawem głównym młynarzem. Zamieszkał w dużym budynku obok młyna. W 1924 roku władze zdecydowały się na utworzenie w Kupinie

siedziby powiatu. Budynek został skonfiskowany na potrzeby administracyjne, a rodzinę Kitlińskich wystawiono na ulicę. Wówczas młynarz przypomniał sobie swoją „działalność rewolucyjną”. Opisał ze szczegółami w obszernym liście do gubernialnego wydziału KP(b)U (Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy – red.) swój wkład w walkę z caratem. Powołał się jako na świadka na jednego z wysoko postawionych działaczy



bolszewickich. List został wysłany z guberni do Moskwy. Działacz bolszewicki przypomniał sobie tę dawną historię, ale zaznaczył, że owszem Kitliński literaturę przewoził, lecz nie za darmo! I jeżeli został wysiedlony, to tak mu, paskudzie, się należy, bo: „Szlachciura chciał ogrzać sobie ręce przy świętym ogniu rewolucji”.

Jak się okazało, płomień rewolucji ogrzał nie tylko kontrabandzistę-nieudacznika. – Suma wskazana przez bolszewika – mówi pan Oleksy – znacznie różniła się od zapłaty, którą otrzymali w Zurichu. Różnica prawdopodobnie osiadła w kieszeni „płomiennego rewolucjonisty”. Tę historię wielokrotnie powtarzał mi ojciec jako przestrożę, że wyrodki te, nie zważając na wszystkie ich wielkie słowa o dobru narodu, zawsze grabili i nie przepuszczali żadnej okazji do kradzieży – zaznacza Oleksy Kitliński.

Sam Julian Kitliński wkrótce po opisanych wydarzeniach ciężko się rozchorował. Początkowo był to tyfus, a ledwo wyzdrowiał, nabawił się zapalenia płuc. Choroby złamały jego potężny organizm i Julian w 1944 roku zmarł. Sprawę ojca kontynuował syn Oleksy. Początkowo pomagał dziadkowi Julianowi, aż z czasem został młynarzem.

W czasie II wojny światowej historia z „bolszewickim złotem” otrzymała niespodziewaną kontynuację. Na początku niemieckiej okupacji do Kupina weszły oddziały karne SS i ostatnią drogą dla ludności żydowskiej stała się droga przy młynie na cmentarz Żydowski – tam ich rozstrzelano.

– Mój kuzyn, Michał, postanowił pomóc śmierć kolegi – wspomina pan Oleksy. – W tym czasie SS-manów w miasteczku już nie było. Zostało jedynie trzech wojskowych: starszy intendent, zbierający podatki i dwóch żołnierzy w wieku przedemerytalnym. Jednemu z nich chłopak wykrał karabin. Wykraść się udało, ale jak się z nim obchodzić, chłopak nie wiedział i karabin wylądował w stawie.

– Niemcy szybko zorientowali się, kto był sprawcą kradzieży. – ciągnie Oleksy Kitliński. – Michała pobili, ale

broni nie odzyskali. Niemcy nie zdecydowali się zgłosić utraty broni – za to można było trafić na front wschodni.

Sprawę załatwiono polubownie. Oficer przyszedł do mojej babci i pogadał z nią. Pojechali do Dunajowca na stację kolejową. Babcia miała ostatnie pięć złotych monet ze „złota partii”. Za te pieniądze zakupili od żołnierzy wyjeżdżających na front nowy karabin.

Przed wejściem Sowietów Niemcy starali się wywieźć urządzenia młyna, ale zabrali tylko kilka części z turbiny, bez których już nie udało się uruchomić generatora. Ale młyn działał jeszcze ponad sto lat. Na początku 2000 roku ostatecznie złamała się turbina i nie sposób było ją naprawić. Po kilku latach złomiarze zabrali z urządzeń wszystkie mosiężne części. A było tego kilka cetnarów. Nie oszczędzili nawet tabliczki z napisem firmy-producenta urządzeń. Dziś można oglądać ją jedynie na starych fotografiach.

Ze szwajcarskich maszyn zostały tylko puste ramy.

Na przeciwległym końcu Kupina na rzece Czarnowodce stoi jeszcze jeden stary młyn. Wygląda dość romantycznie, ale żadnych interesujących opowieści o jego losach nie udało się znaleźć.

Ostatni bój stanisławowskiej fortecy (cz. I)

Przyszedł, zobaczył, zajął – tak właśnie krótko można opisać zdobycie twierdzy stanisławowskiej przez wojska polskie w 1809 roku. Przez półtora wieku swego istnienia forteczne mury widziały wiele: zaciekle szturmowane z krwawymi pojedynkami na blankach, rujnujące ostrzały artyleryjskie, długotrwałe oblężenie. Bywały przypadki, gdy miasto poddawano bez jednego wystrzału i garnizon kapitulował przed przeważającymi siłami przeciwnika. Jednak to, co wydarzyło się na początku XIX wieku, nie przypominało żadnego z poprzednich wymienionych wydarzeń, a tak w ogóle – było to do niczego nie podobne.

IWAN BONDAREW

Księstwo, które marzyło, by stać się królestwem

Ukraińscy historycy są mało zainteresowani V wojną koalicyjną. Wówczas Anglia i Austria zdecydowały się dać kolejną nauczkę Napoleonowi. Ale stało się odwrotnie. Rosyjscy badacze też wolą tych wydarzeń nie wspominać, bowiem ich wojsko było sojusznikiem Francuzów. I to w przededniu słynnego 1812 roku! Najdokładniej przebieg wydarzeń tych odległych czasów opracowują polscy historycy. Żeby czytelnik zrozumiał o co chodzi, przytoczmy wydarzenie w Europie z 1809 roku.

Zakończyła się IV wojna koalicyjna, w której toki Napoleon rozgromił Prusy, zadał bolesną porażkę Rosji i zmusił ją do podpisania niekorzystnego dla niej pokoju w Tylicy. Zgodnie z układami część terenów polskich odebrano Prusom i utworzono na nich Wielkie Księstwo Warszawskie. Formalnie monarchą jego był król Saksonii, ale władza wojskowa należała do księcia Józefa Poniatowskiego. Był krewnym ostatniego

wojska, powiększyli armię do 500 tys. i mieli poważny zamiar odnowić swój prestiż jako decydującego państwa w Europie.

9 kwietnia 1809 roku ambasador Francji został powiadomiony o wypowiedzeniu wojny, i już następnego dnia wojska cesarskie napadły na Saksonię, sojusznika Napoleona. Główne działania bojowe prowadzone były w Bohemii (tereny współczesnych Czech), ale nas bardziej interesuje wschodni teatr działań wojennych.

32-tysięczny korpus wojsk austriackich arcyksięcia Ferdynanda d'Este wdarł się na tereny Księstwa Warszawskiego 14 kwietnia. Wojskami polskimi dowodził książę Józef Poniatowski, mający do dyspozycji zaledwie 14 tys. wojska. Statystyka wymowna. Po przegranej bitwie pod Raszynem Poniatowski opuszcza Warszawę. Dalej dzieją się wojenne cuda.

Umocniwszy się na prawym brzegu Wisły, Polacy skutecznie odpierali ataki Austriaków, a z czasem sami kontratakowali. Ich główny atak skierowany był na Galicję. Fortece poddawały się jedna



Lwów został zdobyty przez 16 polskich strzelców konnych

A co w Stanisławowie?

W Galicji przeciwko Polakom walczył korpus feldmarszałka księcia Fryderyka Karola Wilhelma Hohenlohe-Ingelfingena. Kronikarze charakteryzują go jako człowieka starego, gnuśnego, który każdego dnia prawie do południa leżał w łóżku i stamtąd wydawał rozkazy. Według różnych danych liczba jego wojska stanowiła od czterech do sześciu tysięcy żołnierzy.

Obawiając się oblężenia Lwowa, książę 22 maja wysłał do Stanisławowa kasę i archiwum, a następnego dnia wyruszył tam z całym wojskiem. Korpus składał się z batalionów rezerwowych, których poziom wyszkolenia i duch bojowy nie był najlepszy. Austriacy nie zdołali dojść do Bóbrki, a już zdezerterowało 140 żołnierzy – oczywiście z bronią i amunicją.

Gdy Austriacy uciekali, Polacy zajęli Lwów. Trudno to jednak nazwać „zdobyciem” – do pustego miasta wjechało 16 konnych strzelców pod dowództwem porucznika Jerzego Starczyńskiego, którego o mały włos nie zadusili w objęciach mieszkańcy miasta.

Po przyjeździe do Stanisławowa Hohenlohe wysłał kasę i dokumenty na Węgry, a sam stanął taborem pod miastem. Oto jak opisuje wydarzenia świadek:

– Pamiętam to dobrze, bo mi wszystkie trawy zabrano i spalono, a moje drzewa owocowe pocięto na ogniska. Tak było we wszystkich gospodarstwach, leżących w okolicach obozu. Kury, gęsi, kaczki i, częściowo, prosięta w całej okolicy poznika-

nego obrazu sytuacji księżę Hohenlohe, mówiąc współcześnie, „miał pietra”. Gdy nadeszła wiadomość, że Polacy są już w Kałuszu, przestraszony dowódca dał rozkaz odwrotu. W poniedziałek 5 czerwca uderzono w tarabany i sześć tysięcy wojska ruszyło na Śniatyn i dalej na Bukowinę. Stanisławów pozostał bez obrony.

W przydatnym do obrony stanie...

Po przejściu Galicji przez imperium Habsburgów Stanisławów przestał być graniczną fortecą. Funduszy na jej utrzymanie nie było, przez co fortyfikacje miejskie rozpadły się, jednak na początku XIX wieku Stanisławów pozostał „twardym orzeszkiem”. Oto jak opisuje stan fortyfikacji kronikarz, ukrywający się pod skrótem „F. C.”

– Miasto Stanisławów było wówczas umocnioną fortecą, którą otaczały mury z czerwonej cegły w przydatnym do obrony stanie. Głębokie i szerokie fosy oddzielały miasto od przedmieść i jedynie przez długie mosty, przerzucone nad fosami, można było dostać się do bram miasta, zwanych Halicką i Tyśmienicką. Takim samym wąskim i długim mostem można było również wejść przez małą furtkę, przeznaczoną do spacerów i zwaną Ormiańską. Nad bramami miejskimi umieszczono olbrzymie czarne marmurowe tablice ze złotymi napisami.

Miasto miało zaledwie 6 tys. mieszkańców. W czasach pokoju garnizon składał się z dwóch-trzech kompanii piechoty, dwóch eskadr huźarów i oddziału ochrony granicy, tzw. „kordonistów”. Część tych oddziałów odeszła z wojskiem, ale kordonieści pozostali w mieście, część zaś piechoty i kawalerii utworzyła coś na kształt fortu obrony rogatki Tyśmienickiej (na dzisiejszej ul. Niezależności w okolicy kina „Kosmos”).

Mimo, iż na Polaków wszyscy czekali, ich nadejście było jednak dla wojsk cesarskich całkowitą niespodzianką.

(cdn.)



Mapa Wielkiego Księstwa Warszawskiego

króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, który utracił koronę w 1795 roku.

Księstwo było odcięte od Francji i ze wszystkich stron otoczone terenami wrogich Prus i Austrii. Napoleon planował z czasem odnowić królestwo polskie, przyłączając do niego Kraków i Galicję, należące do Austrii. Habsburgowie wcale nie byli zadowoleni z takiej perspektywy.

Zapomniana wojna

Austriacy, którym Napoleon wcześniej sprawił lanie, marzyli o rewanzu. Przeprowadzili reformę

po drugiej: 10 maja padł Lublin, 20 maja – Zamość, a 27 maja – Lwów.

Na zdobytych ziemiach Galicji Poniatowski utworzył Tymczasowy Centralny Rząd Wojskowy obojga Galicji (wówczas Galicja dzieliła się na Wschodnią ze stolicą we Lwowie i Zachodnią – w Krakowie).

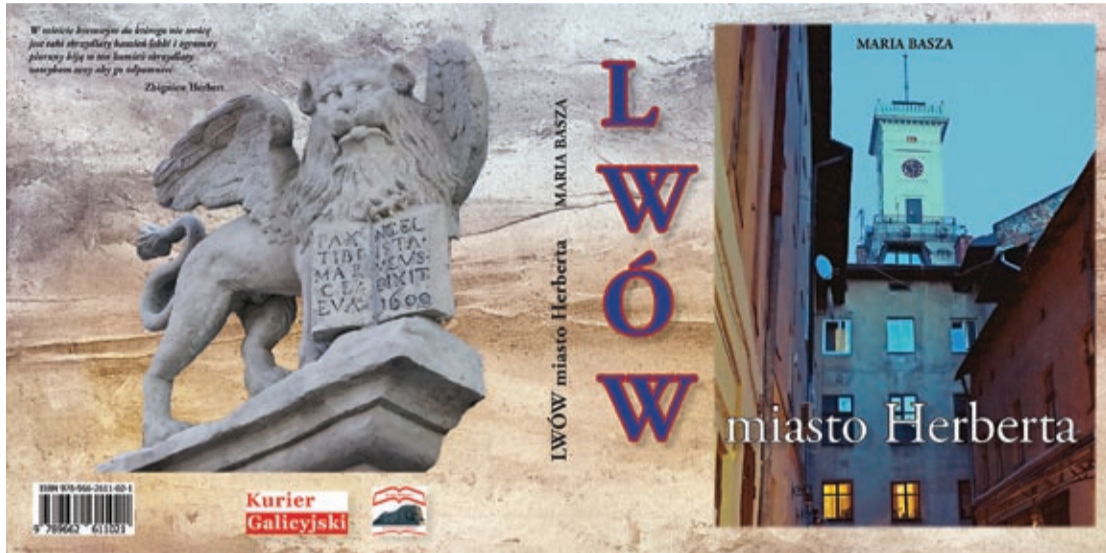
Wszędzie, gdzie pojawiły się oddziały Księstwa Warszawskiego wybuchły powstania. Magnaci tworzyli swoje pułki, szlachta masowo zaciągała się do kawalerii. Natomiast apolityczni chłopcy, którym Austriacy w zasadzie nic złego nie zrobili – chwycili za kosy.



Stanisławowska forteca

LWÓW miasto Herberta

W ramach Biblioteki Kuriera Galicyjskiego ukazała się nowa pozycja. To niepowtarzalny w swym klimacie album: „LWÓW miasto Herberta” autorstwa Marii Baszy, zastępcy redaktora naczelnego Kuriera Galicyjskiego. Album w formacie 20x20 cm ma 120 stron wypełnionych niezwykle treścią. To wędrówka po współczesnym Lwowie, po którym oprowadza nas nieuchwytny duch poety. To niepowtarzalna feeria lwowskich kolorów, nastroju, krótko mówiąc lwowski „genius loci”. *W mieście kresowym do którego nie wrócić/ jest taki skrzydlaty kamień lekki i ogromny/ pioruny biją w ten kamień skrzydlaty/ zamykam oczy aby go odpomnieć.* Zbigniew Herbert.



„Moim jedynym i prawdziwym miastem jest oczywiście Lwów. Wszystkie inne (...) przysły daleko później. (...) Lwów, Florencja, Ateny, Jerozolima, Rzym, Ravenna, Bayonne, Monachium, Siena, Piza...” – pisał Zbigniew Herbert. Andrzej Franaszek, Ostatnia Aleksandria. Lwów Zbigniewa Herberta www.swiatyslowo.ath.bielsko.pl

Zbigniew Herbert urodził się 29 października 1924 r. we Lwowie, zmarł 28 lipca 1998 r. w Warszawie. Był poetą, eseistą i dramaturgiem. Pierwsze dwadzieścia lat życia spędził w rodzinnym, wielokulturowym Lwowie. Następnie ukończył studia ekonomiczne w Akademii Handlowej w Krakowie i prawnicze na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Studiował też filozofię. W 1951 r. osiadł w Warszawie, skąd od roku 1958 wyruszał na kilkuletnie wyprawy do Europy Zachodniej. W literaturze światowej Herbert rozpoznawany jest przede wszystkim dzięki swojemu poetyckiemu alter ego, postaci Pana Cogito.

„Lwów żyje w wierszach poety [red. Zbigniewa Herberta] od pierwszego do ostatniego tomiku, a jego nadzwyczajny status polega na tym, że jest jedynym miastem na świecie, które obywa się bez nazwy...” – konstatuje Józef Maria Ruszar (www.herbertguru.wordpress.com).

Zbigniew Herbert został ochrzczony w kościele pw. św. Antoniego na Łyczakowie w 1924 roku. Był to kościół parafialny Herbertów, którzy mieszkali w jego najbliższym sąsiedztwie. W 2002 roku odsłonięto w tym kościele tablicę upamiętniającą chrzest przysłego poety. Na lwowskiej tablicy umieszczony jest fragment wiersza Zbigniewa Herberta „Moje Miasto”:

...ocean lotnej pamięci
podmywa kruszy obrazy

w końcu zostanie kamień
na którym mnie urodzono

co noc
stają boso
przed zatrzaśniętą bramą
mego miasta...

Druża tablica umieszczona jest na domu przy ul. Łyczakowskiej 55, w którym poeta się urodził i mieszkał w latach 1924–1933. Nie było mu dane przyjechać znów do ukochanego miasta, które opuścił z rodziną w 1944 roku.

– Lwów wywarł szalony wpływ na mnie. Teraz dopiero to doceniam – mówił [Zbigniew Herbert – red.] pod koniec dwudziestego wieku. – Przede wszystkim jako miasto wielonarodowościowe. Od urodzenia niemal zaszczepiony byłem przeciwko wszelkiej ksenofobii. Antysemityzm jest dla mnie czymś niezrozumiałym. Ja się bawiłem z Żydami, to byli moi najlepsi koledzy: z piaskownicy, z boiska, ze szkoły. [...] Miasto to nie zbiór budynków, pomników, placów i mostów – o mieście stanowi atmosfera międzyludzka... I wydaje mi się, że w tym moim mieście była dobra atmosfera międzyludzka, bo polatywał nad nim duch tolerancji. (Humanistyka to przygoda. Rozmawiała Monika Muskala, [w:] Herbert nieznan. Rozmowy, Warszawa 2008).

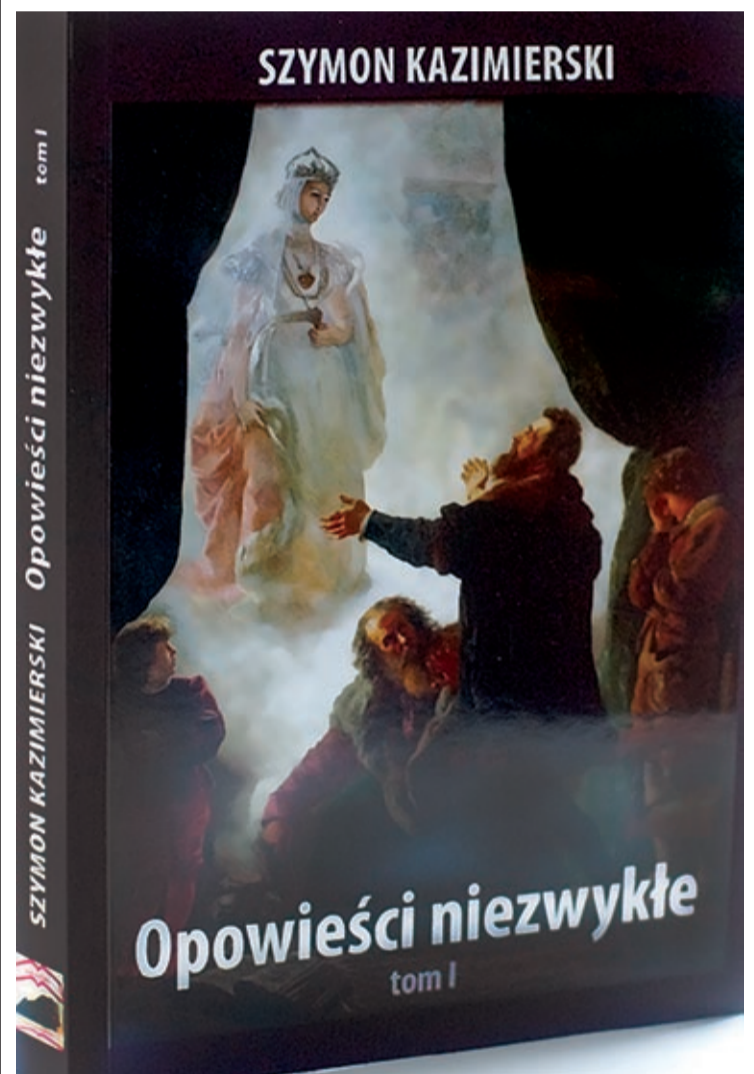
Jako pięćdziesięciolatek poeta napisze do węgierskiej przyjaciółki: „Urodziłem się nieźle i niedaleko Lwowa [...] rosły winogrona. [...] Kiedy drugi raz będę musiał zjawić się na świecie, przyczepię się do basenu Morza Śródziemnego i żaden diabeł, żaden tyran mnie stamtąd nie ruszy”, i już jako młodzieniec musiał mieć silne, choć wtedy zapewne nie wypowiedziane poczucie własnej europejskości, w tym także bycia spadkobiercą kultury śródziemnomorskiej i antycznej. Jego wyrazem było choćby częste wśród lwowskiej inteligencji zainteresowanie filologią klasyczną.

Po dekadach doskonale opisał to włoski kompan Herberta, Francesco Cataluccio, przekonany, że polski pisarz zabiera ze sobą Lwów w każdą podróż [...]. Bardzo często mówił mi o Lwowie i nieraz w swoich wędrówkach po Włoszech, stając przed jakimś domem, [...] stwierdzał: taki jak we Lwowie. Chociaż dzisiejszy Lwów zmienił się, jego okazałe budowle, parki, kościoły i cmentarze wciąż przypominają, że to miasto ma w sobie coś władczy i wspaniałego [...]. Wyczuwa się w nim duch klasycyzmu, do którego Herbert stale się odwoływał. [...] Klasycyzm może stać się kompasem, miernikiem wartości i wsparciem w życiu – tego Herbert uczył się we Lwowie i zawsze o tym pamiętał – pisze Andrzej Franaszek w książce „Ostatnia Aleksandria. Lwów Zbigniewa Herberta” (www.swiatyslowo.ath.bielsko.pl).

Kartkując strona po stronie obecny album, który ukazuje fotografie tylko fragmentu obecnego Lwowa, zobaczymy miejsca, z którymi bezpośrednio związany był Zbigniew Herbert. Jest to m.in.: dom przy ul. Łyczakowskiej 55, w którym urodził się przysły poeta, kościół pw. św. Antoniego, Publiczna Męska Szkoła Podstawowa nr 2 świętego Antoniego, miejsca, w których mieszkała rodzina Herbertów, katedra łacińska, katedra ormiańska, Cmentarz Orłąt Lwowskich, który wspólnie z siostrą Haliną odwiedzał Zbyszek, VIII Gimnazjum imienia Króla Kazimierza Wielkiego, uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie Zbigniew Herbert rozpoczął studia polonistyczne, które jednak trwały tylko trzy miesiące. Aby zdobyć środki na utrzymanie rodziny, a także otrzymać Ausweis – dokument chroniący przed wywózką, poeta pracował jako karmiciel wsi w produkującym szczepionki przeciwtyfusowe Instytucie profesora Rudolfa Weigla. Zobaczymy także wiele innych zdjęć ukazujących ślady polskiej historii miasta.

„Opowieści niezwykle” Szymona Kazimierskiego

Szczerbiec, Miecze grunwaldzkie, Święty murzyn, Święty Brunon z Kwerfurtu, Pan Twardowski, Wampirzyca, Boskie i cesarskie, Kto palił czarownice? Kraj bez stosów, Cmentarz prostytutek, Piekarski, Polskie terytoria zamorskie, Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni, Waza przeciw Wazie, Czy ktoś chciałby zostać Krzyżakiem?, Krzyżacy i Priwisłency, Czarna wołga, Jak Zabłocki na mydle, Kanał Augustowski, Kaplica czaszek, Rzeź Pragi, Złodzieje i kolaboranci, Podlasie – kraina magiczna. Tatarzy. Podlasie – kraina magiczna. Święty Ilija. Królestwo przyrody, Święta Lipka, 45 000 niewolników, Człowiek–ćma, Morskie opowieści, W morzach coś jest!, Złoto ukryte, Meteoryt tunguski, Monstrualne fale, Olbrzymy, Pochowani żywcem, Przepowiednia z Tęgoborzy, Tajemnica latarni Eileanmor, Trup w szafie, Ubi leones, Wir oregoński, Wybrzeże Szkieletów, Czy duchy straszą?, Grób rodziny Chase.



O tym wszystkim w najnowszej książce wydanej przez Bibliotekę Kuriera Galicyjskiego. Kupując wydane przez nas książki, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie i umożliwisz wydanie kolejnych pozycji.

Szymon Kazimierski, bo o nim właśnie te słowa, był z nami od początku wydawania pisma. Bez niego Kurier Galicyjski nie byłby tym czym jest dzisiaj. Był jednym z tych publicystów, na którego teksty czekano, o które spierano się.

Był niezwykle ciekawy życia. Interesowało go wszystko wokół, a także to co daleko. W młodości zakładał

zespół jazzowy. Chciał być lotnikiem, jednak krzywa przegroda nosowa sprawiła, że nie przeszedł komisji kwalifikacyjnej. Rok studiował prawo, jednak czuł, że nie daje mu to satysfakcji. Zrezygnował i zdał niezwykle trudne egzaminy na Akademię Merytoryczną w Gdańsku.

Szymon udzielał się w teatrach studenckich, sam pisał sztuki. W gdańskim akademiku, gdzie mieszkał wydarzył się fakt, który miał wpływ na całe jego późniejsze życie. Szymon zgłosił się tam zbyt późno i powiedziano mu, że wolnych miejsc już nie ma... Chyba, że zgodzi się zamiesz-

„Opowieści niezwykle” Szymona Kazimierskiego

można zamówić w naszej redakcji

Cena 220,00 UAH + koszt wysyłki (na terenie Ukrainy)

Cena 45,00 PLN (razem z kosztami wysyłki
na terenie Polski)

kontakt: nataliakostyk@wp.pl

tel.: +380995281836

Zapraszamy do lektury!

Kupując wydane przez nas książki, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie i umożliwisz wydanie kolejnych pozycji.

„LWÓW miasto Herberta” Marii Baszy można zamówić w naszej redakcji.

Cena 200,00 UAH + koszt wysyłki (na terenie Ukrainy); 38,00 PLN (razem z kosztami wysyłki do Polski). W sprawie wysyłki do Polski prosimy też o kontakt:

nataliakostyk@wp.pl; tel.: +380995281836



John William Waterhouse – Tate Gallery, commons.wikimedia.org

Magiczny krąg. Ilustracja do opowiesci „Kto palił czarownicę? Kraj bez stosów”

kać w jednym pokoju z Sudańczykami. Dla Szymona nie stanowiło to problemu, co najwyżej wyzwanie. Gdy ukończył uczelnię władał płynnie także językiem arabskim. Wiele lat później, w roku 1979 potwierdził to zdając egzamin z tego języka na Uniwersytecie Warszawskim. Wyjechał wtedy do Afryki Północnej.

„Opowiesci niezwykłe” Szymona Kazimierskiego to 400 stron, płynących wartkim strumieniem opowiesci, które nikogo nie pozostawia obojętnym. A to zaledwie tom pierwszy. To twór niezwykły, podobnie jak i niezwykłą była osoba jej autora.

Kilka lat spędził w Libii. Benghazi stało się jego domem. Wędrował też przez Egipt, Sudan, Czad. Wiele lat później jego opowiadania oparte na wspomnieniach z tego okresu, jak chociażby drukowany w Kurierze

Galicyjskim „Afrit” stały się prawdziwym hitem.

Szymon lubił sportowe strzelanie i wyprawy motocyklowe. Był niespokojnym duchem. Należał do tych, co chcą wiedzieć „co jest za tą górą”. Wiele czasu poświęcił badaniom genealogicznym.

Jednak jego prawdziwą pasją było pisanie. Był autorem wielu opowiadań. Opowiadanie „Sonderfuhrer” wydano w antologii „Deszcze Niepokojne”, (Fabryka Słów 2005).

Swą pasję realizował jednak w sposób najbardziej pełny w Kurierze Galicyjskim. Przez wiele lat jego artykuły, opowiadania i eseje, o niezwykle urozmaiconej tematyce, ukazywały się regularnie co dwa tygodnie. Na palcach jednej ręki można policzyć te numery Kuriera Galicyjskiego z tego okresu, gdzie ich nie było.

Minęły już dwa lata jak nie ma GO wśród nas. Straszna choroba zwyciężyła, ale jego teksty, o tematyce tak różnorodnej, nie straciły nic ze swego blasku.

Zapraszamy do lektury!

Poszukuję informacji o moim drzewie genealogicznym

Mój dziadek w czasie wojny uciekł do Polski. W czasie ukraińskich czystek na Wołyniu mieszkał w Lubomlu, skąd wyjechał pociągiem do najbliższego miasta Chelma.

W poszukiwaniu informacji o moich przodkach natrafiłem na stronę <http://wolyn-metryki.pl>, na której znalazłem nazwiska swoich prapradziadków Teodora Naszczockiego i Teresy z Kahaniuków.

W dalszych poszukiwaniach trafiłem na artykuł w Kurierze Galicyjskim. Z dnia 31/10/2016 19:17 autor Eugeniusz Sało: [\[galicyjski.com/actualnosci/5295-szkolenia-edukacyjne-dla-polskich-szkol-sobotnio-niedzielnich-na-ukrainie\]\(http://kurier-galicyjski.com/actualnosci/5295-szkolenia-edukacyjne-dla-polskich-szkol-sobotnio-niedzielnich-na-ukrainie\), w którym wypowiedzi się Julia Naszczocka, nauczycielka języka polskiego z miasta Turzysk \(obwód wołyński\).](http://kurier-</p>
</div>
<div data-bbox=)

Bardzo proszę o pomoc w nawiązaniu kontaktu e-mail lub o potwierdzenie czy jesteśmy rodziną i czy mamy te same korzenie rodzinne, ponieważ to nasze nazwisko jest bardzo rzadkie i mało spotykane.

Mirosław Naszczocki
m.naszczocki@sabel.pl

Pogoń Lwów Amatorska wygrała z Orłem Bydgoszcz

W towarzyskim meczu sekcja sportowo-rekreacyjna Pogoni Lwów pokonała Orła Bydgoszcz 5:2. Po meczu piłkarze i kibice dzielili się wrażeniami przy wspólnym grillowaniu.

EUGENIUSZ SAŁO
tekst
KARINA WYSOCZAŃSKA
zdjęcie

W rozegranym meczu na domowym boisku lwowskiej Pogoni, to gospodarze częściej atakowali, wygrywając po pierwszej połowie 3:0. W drugiej części meczu goście z Bydgoszczy odrobili straty strzelając dwie bramki. Ostatnie słowo było jednak za piłkarzami Dumy Lwowa, którzy zwyciężyli 5:2.

– Było to spotkanie towarzyskie, mecz integracyjny. Mamy lipiec, więc

trudno było, aby grały pełne składy obydwu drużyn. Jest to raczej forma zabawy oraz integracji – powiedział Marek Horbań, prezes LKS Pogoni Lwów.

Orzeł Bydgoszcz jest drużyną amatorską, nie grającą w żadnej lidze. Natomiast już od trzech lat bydgoszczanie startują w meczach o Puchar Polski. W ubiegłym roku kilku piłkarzy przyjechało obejrzeć mecz Pogoni Lwów. Po zakończeniu meczu ustalono, że chcą zagrać z drużyną przedwojennych mistrzów Polski.

– Powiedzieliśmy jaką jesteśmy drużyną, jak gramy i gdzie

gramy. Zapytaliśmy prezesa Marka Horbania czy możliwa byłaby realizacja marzenia naszej drużyny, by zagrać we Lwowie z Pogonią Lwów – wielokrotnym mistrzem Polski – powiedział Paweł Wilk z Orła Bydgoszcz.

Po meczu wręczono symboliczne puchary. Goście zaś z Polski przywieźli piłki nożne dla szkółki piłkarskiej Pogoni Lwów i drobne upominki.

Celem wizyty piłkarzy z Bydgoszczy wraz z kibicami, oprócz rozegrania meczu towarzyskiego, było również zwiedzanie Lwowa.



PONAD MILION PRZEGLĄDÓW kanału telewizyjnego Kurier Galicyjski TV

Materiały filmowe telewizji Kuriera Galicyjskiego obejrzano już ponad milion razy na kanale YouTube (www.youtube.com/user/KurierGalicyjski).

Kanał na YouTube należy do Grupy Medialnej Kuriera Galicyjskiego. Na dzień dzisiejszy w wolnym dostępie jest ponad 1150 materiałów filmowych, które zostały obejrzone ponad milion razy. Ponad 60% przeglądów przypada na Polskę.

Subskrybuj nasz kanał KurierGalicyjski na YouTube (www.youtube.com/user/KurierGalicyjski) i dowiaduj się pierwszy o nowych filmach.



Bądź nadal z nami i nie przegap kolejnych materiałów Kurier Galicyjski TV!

Lwowska restauracja „Kupoł” zaprasza

Położona w samym sercu Lwowa, przy **ul. Czajkowskiego 37**. Wyśmienita polska kuchnia, ciepła rodzinna atmosfera, nastrojowe wnętrza i muzyka. Menu także po polsku.

„Kupoł” to kameralna restauracja położona w sąsiedztwie Lwowskiej Filharmonii oraz dawnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oferuje szeroki wybór tradycyjnych galicyjskich dań, bogaty wachlarz trunków, wyśmienite desery oraz legendarną lwowską kawę.

„Kupoł” to miejsce, w którym goście zawsze mogą liczyć na



przyjazną atmosferę i wyjątkowe przyjęcie. We wnętrzach, w których zatrzymał się czas belle époque i przy dźwiękach nastrojowej muzyki poczuj Państwo klimat wspania-

łych, minionych lat – świata przedwojennej Polski.

Wszystko to stwarza wymarzone warunki do organizacji przyjęć, bankietów, spotkań biznesowych, integracyjnych i rodzinnych, romantycznych rendez-vous, wystawnych kolacji oraz innych uroczystości.

Warto odwiedzić nas o każdej porze dnia i roku! Stąd wszędzie jest blisko, a całe miasto znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jesteś we Lwowie – wstąp do „Kupołu”.

Kontakt: +380322614454
mail: kupollviv@ukr.net

Film, film, film...

W kwietniu 1928 roku pojawił się dodatek tygodniowy do „Dziennika Lwowskiego” pod tytułem „Lwowski Dziennik Ilustrowany” z podtytułem: „Film i Teatr”. W kwietniu – lipcu 1928 roku ukazało się niestety tylko 13 numerów tego ciekawego tematycznego tygodnika. Treścią pisma była popularyzacja sylwetek aktorów, reżyserów, twórców teatralnych i dramatycznych Lwowa, historie wytwórni filmowych i inne ciekawostki ze świata kina. Redagował pismo Roman Dragan, wydawcą była Spółka Wydawnicza „Dziennik Lwowski”. Zajrzyjmy na łamy tego tygodnika, bogato ilustrowanego zdjęciami aktorów i artystycznymi secesyjnymi wstawkami...

opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

O tych aktorach i reżyserach kina dziś już mało kto pamięta. Tym bardziej interesujące są te wiadomości.

Znaczenie reżyserji

Do niedawna jeszcze obrazy filmowe oceniano tylko na podstawie nazwisk wybitnych aktorów, kreujących główne role. System ten jednak często zawodził. Genjalny bowiem realizator potrafi stworzyć arcydzieła przy współudziale młodych, nieznanych aktorów, co więcej – potrafi z początkujących adeptów filmu robić sławy. Z tego wynika, że nazwisko reżysera i jego talent stanowi bardzo silną pozycję w dziedzinie filmu – o wiele silniejszą nawet niżli w teatrze. Pierwszorzędnym reżyserów posiada Ameryka.

Niewątpliwie i Europa nie pozostaje bardzo w tyle – Ernest Lubicz przecież od niedawna dopiero zbiera laury w Hollywood, a należy on właściwie do Europy. Karierę swą rozpoczął pod kierownictwem Maksa Reinhardta – potem przerzuca się do filmu, realizując szereg filmów – „Carmen”, „Mumja Ma”, „Żonę Faraona”, „Madame Dubarry”. Te dwa ostatnie filmy zapewniły Niemcom hegemonję na rynku światowym. Za oceanem realizuje dalej bardzo udane obrazy, między innymi „Taki to jest Paryż” jako film kameralny. Lubicz wniósł do produkcji amerykańskiej swoisty artyzm i charme kulturalnego europejczyka. Jest sam doskonałym aktorem, więc umie wykonać adepotom gest i mimikę potrzebną do danej roli. Filmy Lubicza nie wywołały w kinematografii amerykańskiej przewrotu, lecz przyczyniły się do zaanektowania przez kino dziedziny, niewyzyskanej dotąd przez żadnego z reżyserów amerykańskich.

Kto dziś pamięta filmy „Karawana” czy „Pod narkozą”? Tym ciekawsza jest sylwetka reżysera...

Opinie sławnych reżyserów

James Cruze doszedł do sławy dzięki usilnej pracy i niesłychanej energii. W początkach patrzano na kino lekceważąco, niedoceniano jego znaczenia kulturalnego, trudno było znaleźć aktora, który by grę dla kina nie uważał za coś hańbiącego i nie licującego z jego powagą artysty. James Cruze po długim wahaniu przyjął rolę w sensacyjnym filmie, znęcony sowitą nagrodą i chwila ta decyduje o jego dalszej karierze – jakiś czas jest aktorem, potem zostaje reżyserem. Rezultat jego pracy prze-

szedł najsmielsze oczekiwania i dziś zajmuje jedno z czołowych miejsc wśród reżyserów. „Karawana” rozgłosiła jego nazwisko na obu półkulach. Cruze jest reżyserem wszechstronnym, tworzy filmy najrozmaitszego pokroju: sensacyjne, fantastyczne, wizjonerskie („Pod narkozą”) i eksperymentalne. Reżyser wierzy w swój instynkt, który wypływa z „wycucia” kina, najoryginalniejsze pomysły przychodzą mu w czasie inscenizacji filmu, które realizuje zawsze w

był niezwykle interesujący i stawiał tę wytwórnię za przykład rodzimej kinematografii.

Organizacja wytwórni amerykańskiej

Wytwórnia „Paramount” w ostatnich dwóch latach stała się największą organizacją filmową na całym świecie. Filmy zrealizowane w wytwórniach powyższej firmy są największe, najkosztowniejsze i najbardziej skomplikowane technicznie z pośród wszystkich filmów jakie były



Przepiękna Evelyn Brent

bardzo szybkim tempie. Cruze – w przeciwieństwie do innych reżyserów, którzy są obojętnymi widzami i obserwatorami, bierze w filmie sam żywy udział i przeżywa niejako akcję – może właśnie dlatego idzie mu praca łatwiej i szybciej, niż innym. Praca pod jego kierownictwem jest uciążliwa, lecz zawsze owocna.

W rządzie modnych reżyserów wybitne miejsce zajmuje Rex Ingram. Jest to człowiek obdarzony wyjątkowym smakiem artystycznym i delikatną naturą. Z zawodu rzeźbiarz – ciągle chce wrócić do swej pracy, lecz kino trzyma go mocno i ciągle zostaje. Jego film z Rudolfem Valentino „Czterej Jeźdźcy Apokalipsy” uzyskał nawet w Ameryce nagrodę w roku 1924, jako najlepszy w swoim rodzaju obraz. Obecnie Ingram ma zamiar przenieść się do Anglii, gdzie pracować ma w jednej wytwórni popieranej przez rząd.

Amerykanie mieli zawsze wszystko co najlepsze. Artykuł o działalności studia filmowego „Paramount”

dotąd wyprodukowane. Wytwórnia „Paramount” zatrudnia obecnie szereg słynnych gwiazd filmowych, tak amerykańskich jak i zagranicznych i nie ma dnia, aby na listę stałych pracowników „Paramountu” nie przybyła jaka nowa siła filmowa krajowa lub europejska.

Oto kilka cyfr, które zilustrują rozmiary tej wytwórni. Przedsiębiorstwo filmowe „Paramountu” zajmuje obszar ziemi wielkości około 60 akrów. Na tym obszarze wystawionych jest 55 budynków do różnych celów, związanych z produkcją filmów; kilkanaście brukowanych ulic, łączących różne punkty przedsiębiorstwa – nadają całości charakter małego miasta. Same urządzenia i różne przyrządy przedstawiają wartość kilkunastu milionów dolarów. Znajduje się tam 20 wielkich scen. Oprócz tego została zbudowana specjalna scena teatralna do zajęć. W studio znajduje się około 200 pokoi, przeznaczonych specjalnie do przebierania się dla artystów (garderoby), a codziennie wydaje się

przeszło 2000 obiadów dla pracowników przedsiębiorstwa. Na terenie studjów i budynków znajduje się stacja telegraficzna West Union.

Można przebywać w studjach „Paramountu” całymi dniami, a nawet i miesiącami, mogąc na miejscu zaspokoić wszystkie potrzeby życia. Własna fabryka mebli, czynna na miejscu, wyrabia wszystkie możliwe rodzaje i gatunki mebli, potrzebnych do odpowiednich filmów. Własna pracownia naczyń gipsowych i glinianych wytwarza rozmaite wazy artystyczne, potrzebne do rozmaitych scen filmowych. Pracownia dekoracyjno-artystyczna przygotowuje wszelkie dekoracje pokojów, mieszkań i t. p. Oddział garderoby, nawiasem mówiąc, jest imponującą cudowną kolekcją kostiumów z całego świata, przedstawia wartość 200.000 dol. w samych kostiumach i 75.000 dolarów w surowych materiałach. W departamencie tym stale pracuje kilkudziesięciu ludzi i krawcowe, szereg krajczych, jubilerzy i t. d. Oddział laboratoryjny przygotowuje i wykańcza tygodniowo 77 000 metrów filmów, około 40 milj. metrów rocznie. Oddział spożywczy otrzymuje wszelkie materiały spożywcze i prowadzi jadalnię. Cała organizacja studjów podzielona jest na 20 różnych departamentów. Krótki opis niektórych z nich posłuży do łatwiejszego zorientowania się, na jak wielką skalę i z jak wielkim rozmachem jest prowadzone filmowe przedsiębiorstwo amerykańskie.

Wydział finansowy jest czemś w rodzaju wielkiego banku rozrachunkowego (clearing house) dla tysięcy ludzi zatrudnionych w przedsiębiorstwie. Przeciętna tygodniowa lista pracowników, otrzymujących stałe pensje, obejmuje 5.000 ludzi. Płace dzielą się na dwie grupy: płace mechaniczne, wynagradzane stosownie do zużytego czasu, i t. zw. „intymne”, oparte na placach stałych, tygodniowych, lub miesięcznych. Płace stałe dochodzą do sumy 5 milj. dolarów rocznie. Sami tylko fachowcy i specjaliści w różnych działach pobierają zapłatę w sumie 30.000 dolarów tygodniowo. Wydział urządzeń, przyrządów i wszelkiego rodzaju ekwipunku przedstawia wartość 400.000 dol. Jest to największa kolekcja urządzeń kinematograficznych w świecie; zajmuje ona specjalny, wielki, czteropiętrowy budynek.

Oddział elektryczny, posiadający dwie wielkie elektrownie oraz cztery stacje ruchome, mógłby dostarczyć światła do przeszło 3000 mieszkań. W oddziale konstrukcyjnym wielkie warsztaty zatrudniają stale około 200 ludzi dniem i nocą. Urządzenie warsztatów kosztuje 75.000 dolarów. Ilość drzewa, zużytego w warsztatach firmy „Paramount”, wystarczałaby na wybudowanie dziewięciu zwykłych pięciopokojowych domów mieszkalnych. Oprócz drzewa wielkie ilości innych materiałów zużywa się przy budowie sceny. Ze względu, że filmy wytwórni rozchodzą się we wszystkich krajach świata, jest rzeczą nieodzowną, aby były one przygotowane z całą precyzją nie tylko techniczną, ale żeby i pod względem artystycznym przedstawiały wysoką wartość.

Kiedyż jednak Polska doczeka się wreszcie tego cudu organizacji? Czy doczeka się?

Z pewnością – jeśli rząd, a z nim i społeczeństwo polskie zechce tylko na siebie wziąć tę samą opiekę nad filmem rodzimym, jak raczy Ameryka na swoją produkcję i zresztą w dobrze zrozumianym interesie.

W latach międzywojennych królował film czarno-biały i niemy, ale już były próby wprowadzenia kolorowego taśmy filmowej i kina dźwiękowego. Toczone o to nawet dyskusje. O tym też co nie co...

O filmie kolorowym

Pomysłowi i wiecznie przedsiębiorczy Amerykanie mają olbrzymie zasługi, jeśli chodzi o oryginalność w technice filmowej i o niżenie się do rzeczywistego życia na ulicy. W tej pogoni za rzeczywistością życia



Nata Waczadze – gwiazda wytwórni Sowkino

sięgnęli Amerykanie po zagadnienie filmu barwnego. Ostatnimi czasy rozegrała się na łamach amerykańskiej prasy filmowej walna bitwa o filmy kolorowe. Krótko mówiąc zwyciężyła teza, że należy produkować filmy barwne, jako bardziej do życia zbliżone. Jednak stanowisko większości krytyków amerykańskich było bardziej teoretyczne, aniżeli życiowe, gdyż nie uwzględniało psychologii ludzkiej, a co zatem idzie, stanowisko to nie wytrzymało próby życia.



Wyjątkowo jednak pomyślnie barwność została zastosowana do filmu „Czarny Pirat”. Jeśli jednak wnikiemy głębiej w przyczyny, które spowodowały, że „Czarny Pirat” tak wielkie wszędzie osiągnął sukcesy, to zrozumiemy, że nie spowodowała tego sama „barwność” filmu, a tylko współdziałało tutaj kilka czynników, z których najważniejszym jest owiana szczerym romantyzmem epoka piratów i żaglowych statków. Któż jeśli nie Napoleon

Klasztory rzymskokatolickie na wschodzie Rzeczypospolitej – dominikanie (cz.II)

Na łamach Kuriera Galicyjskiego kontynuujemy cykl tematycznych publikacji o historii poszczególnych zakonów katolickich na terenach dzisiejszej Ukrainy.

DMYTRO ANTONIUK
tekst i zdjęcia

Do Niewirkowa na Wołyniu (dzisiejszy obw. rówieński) prowadzi stara „sosza” (nazwa wołyńsko-podolska), brukowana tzw. „kocimi łbami”.

Zakon oo. dominikanów pojawił się w tej miejscowości w 1698 roku dzięki podstołemu trockiemu Mikołajowi Rokszyckiemu i początkowo osiadł w drewnianym kościele. Trwało to do 1807 roku, kiedy to wielki chorąży koronny Jan Stecki, ówczesny właściciel Niewirkowa, wspólnie z hrabiną Barbarą Olizar ufundowali dla zakonu murowaną klasycystyczną świątynię pw. Św. Trójcy, ozdobioną czterokolumnowym toskańskim portykiem. Autorstwo świątyni przypisuje się architektce Szymonowi Bogumiłowi Cugowi, działającemu w królewskich apartamentach w Dreźnie i Warszawie. Pierwotny projekt przedstawiał wspaniałą, bogato dekorowany kościół z sześciokolumnowym portykiem i olbrzymim klasztorem. Jednak – prawdopodobnie z powodu szczupłych funduszy – ostatecznie poprzestano na skromniejszej wersji. Hrabina Barbara Olizar



Cudowny obraz Matki Bożkiej Barskiej w cerkwi prawosławnej obok kościoła poddominikańskiego

samoobrony, nie wiadomo, czy został zdobyty przez UPA. Natomiast władze komunistyczne przyczyniły się do rujnacji zabytku, wobec czego brak tu zadaszania i stan całości jest żalony.

Ze starych fresków zachowały się jedynie prawie zatarty wizerunek



Pielgrzym z Ameryki Południowej z rodziną w Barze

dokonała żywota w niewirkowskim klasztorze i została pochowana pod jednym z siedmiu skromnych ołtarzy, a serce Jana Steckiego, zgodnie z przyjętą w ówczesnej Rzeczypospolitej tradycją, spoczęło w przechowywanej w kościele złotej szkatule.

Niewirkowski klasztor miał swoją relikwię – cudowny obraz Matki Bożej Bolesnej, przekazany przez Mikołaja Rokszyckiego, na cześć której ustanowiono w kościele kilka corocznych odpustów.

Historia klasztoru jest podobna do sąsiedniej placówki pijarskiej – obie zostały skasowane po powstaniu listopadowym, a świątynia stała się kościołem parafialnym. Na początku XX wieku proboszczem parafii był o. Marian Tokarzewski, zamęczony później w więzieniu NKWD. Kościół funkcjonował do 1945 roku, do chwili opuszczenia miejscowości przez Polaków. Zabrali ze sobą do Polski cudowny obraz, który dziś znajduje się we wrocławskiej kurii biskupiej. W kościele działał ośrodek polskiej

Maryi, ratuj nas”. Nie udało mi się odszukać nawet fundamentów dawnego klasztoru, więc prawdopodobnie był on drewniany.

Co do samej miejscowości – to nic konkretnego powiedzieć nie można. Katolików tu nie ma, więc nie ma kto bodaj minimalnie zadbać o świątynię – ciągle jeszcze piękną, nawet w ruinie.

W 1607 roku starosta Stanisław Golski zaprosił oo. dominikanów do Baru (obw. winnicki). Osiedli oni tu przy drewnianym parafialnym kościele pw. św. Mikołaja. Z czasem obok powstał również drewniany klasztor. Zakonnicy przywieźli ze sobą obraz Matki Bożej Różańcowej. W czasie oblężenia miasta przez wojska kozackie pod dowództwem Maksyma Krywonosa w lipcu 1648 roku barscy dominikanie zginęli, a ich klasztor został spalony. O. Franciszek Organc został zamęczony podczas modlitwy, a jego ciało rzucono psom; o. Maurycy został rozsiekany przy ołtarzu; o. Feliksowi odcięto głowę, a o. Feliksa Tatarzy, sojusznicy kozaków, rozdarli na strzępy.

Dopiero w pierwszej połowie następnego stulecia zakon powrócił do miasta i staraniem ks. Macieja Królikowskiego rozpoczęto budowę początkowo drewnianych, a następnie murowanych, kościoła i klasztoru. Ale, czy to zabrakło funduszy, czy przeszkodziły wojny z Rosją (w czasie powstania Kościuszki w konwencie stacjonowała carska artyleria), do roku 1811 murowane zabudowania nie zostały ukończone. Dopiero po piętnastu latach, po zakończeniu prac wewnątrz, kościół pw. św. Mikołaja został konsekrowany. Zakon przetrwał tu jedynie pięć lat, po czym konwent został skasowany, klasztor rozebrano, a świątynia stała się kościołem parafialnym.

Liczna katolicka społeczność miasta wspierała swoją świątynię. W połowie XIX wieku książę Lubomirski odnowił na własny koszt wnętrza, a na początku kolejnego wieku z fundacji pani Milewskiej, kościół uzyskał pokaźnie pieniądze, za które postanowiono go rozbudować. Kościół znacznie poszerzono, nadbudowano dwie wieże na fasadzie i nadano mu cechy neogotyckie.



Ruiny poddominikańskiego klasztoru w Niewirkowie na Wołyniu



Kopia cudownego obrazu w głównym ołtarzu kościoła

Ponownie został konsekrowany pw. św. Anny w 1906 roku.

Proboszczowie parafii byli szkanowani przez bolszewików. O. Marian Tokarzewski w 1918 roku został dwukrotnie skazany na śmierć, ale ostatecznie go zwolniono po licznych prośbach wiernych wszystkich konfesji miasta. Później jednak rozprawiło się z nim NKWD. Jego następców również prześladowano: po rozgrabieniu mienia kościelnego i spaleniu biblioteki rozstrzelano ks. Jana Łukacza. Do obozów zostali zesłani o. Jan Świdorski i o. Sebastian Sabudzyński. Kościół został ostatecznie zamknięty w 1937 roku i urządzono tu magazyn zboża. Resztki ksiąg i archiwum parafialne zostały zniszczone. Kościół ponownie otworzył niemiecki kapłan podczas II wojny światowej i od tej pory, pomimo represji w okresie rządów Chruszczowa, świątynia jest czynna.

Na początku lat 90. XX wieku kościół został wyremontowany przy pomocy polskich firm (stosowne tablice umieszczono przy wejściu). Ze starych ozdób pozostały jedynie niektóre obrazy: „Śmierć św. Józefa” i „Św. Wincenty z Ferrary”. Rzeźbione neogotyckie ołtarze, freski i (prawdopodobnie) organy pochodzą z początku XX wieku. W ołtarzu głównym zasłona z wizerunkiem Matki Bożej mieści się cudowny obraz Matki Bożej Różańcowej. Jego oryginał, znany jako Matka Boża Barska, znajduje się w sąsiedniej prawosławnej cerkwi pw. Wniebowzięcia NMP. Prawdopodobnie obraz jak również feretrony z

wyobrażeniem Wniebowzięcia NMP zostały tu przeniesione w czasie zamknięcia kościoła.

Przydarzyła mi się komiczna historia, gdy po raz pierwszy odwiedziłem kościół w Barze. Poszukując księdza, zetknąłem się na plebanii z mężczyzną z Ameryki Południowej, który rozmawiał wyłącznie po hiszpańsku, w języku dla mnie nieznanym. Prawdopodobnie przyjął mnie za dziennikarza prasy katolickiej. Poprosił mnie o fotografię z całą rodziną, co z przyjemnością uczyniłem. Gdy zorientował się, że jestem zwykłym podróżnikiem, zasmucił się bardzo. Lo siento mucho.

Pozostałości murów, niewielka część klasztoru i prawdopodobnie kościoła ocalała z klasztoru oo. dominikanów w miejscowości Chodorów w obw. żytomierskim. Początek dał mu podwojewoda kijowski Franciszek Ksawery Nitowski w 1742 roku. W swojej fundacji przekazał zakonnikom wioskę Sobolówkę i 25 tys. złotych. Klasztor kościół pw. św. Stanisława biskupa konsekrował koadiutor (biskup tytularny) kijowski Kajetan Sołtyk 17 czerwca 1753 roku. Przechowywano tu cudowny obraz Matki Bożej. Przy klasztorze działała szkoła parafialna i szpital.

W czasie napadu hajdamaków w 1768 roku kościół i klasztor zostały spalone, a księża Woroniecki i Kotowicz – zamordowani. Hajdamacy zasiedli taborem w sąsiednim lesie. Książę Mszczerski, który nadszedł do Chodorowa z wojskiem, nie odważył się ich zaatakować, ale obiecał puścić wolno, gdy złożą broń. Powstańcy uwierzyli, złożyli noże i kosy i odeszli. Mszczerski zapędził ich na pole i wyciął wszystkich.

Po 11 latach Kajetan Rościszewski (kolejny Kajetan) odbudował klasztor. W 1819 roku kościół został odbudowany po pożarze, prawdopodobnie, z roku 1799. „Z górnych i dolnych cel wzięto cegłę na prezbiterium, do którego dostawiono kościół z drewna, w planie prostokątnym” – zapisano w kronikach. Jednak po powstaniu listopadowym, w 1832 roku – wówczas w Chodorowie mieszkało pięciu dominikanów – klasztor został skasowany, ale kościół pozostał jako parafialny aż do czasu jego zniszczenia przez bolszewików.

Nie zachowała się informacja o jego wyglądzie i nie ma fotografii archiwalnych. Teren zabytku znajduje się w centrum miejscowości, naprzeciwko internatu psychoneurologicznego. Na terenie dawnego klasztoru jest obecnie prywatne gospodarstwo.

Dominikanie nie zapomnieli jednak o Chodorowie. W kaplicy cmentarnej rodziny Podgórskich ostatnio urządzono kaplicę pod wezwaniem świętego... – no, proszę zgadnąć? Oczywiście – Kajetana. Co niedzieli odbywają się tu nabożeństwa.

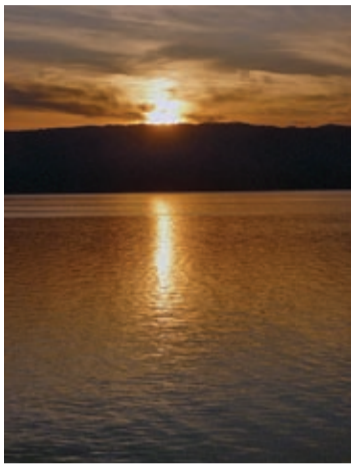
Wyspa Olchon, czyli raj dla fotografowania

KRZYSZTOF SAWICKI
tekst i zdjęcia

Bo rzeczywiście tak jest – gdzie nie zerkniesz... od razu jakoś inaczej... Niby step jak step, jest taki i w Kazachstanie, i na Krymie, woda jak woda otoczona wielkimi górami – widziałem to w Kirgystanie. A jednak, kiedy się gapilem jak zamurowany na te krajobrazy, kiedy siedzę teraz i porządkuję fotografie, to odnoszę wrażenie, jakbym przez dwie doby przebywał w zupełnie innym świecie.

Bo cała ta wyspa jawi mi się jak jakaś wielka i przedziwna dekoracja do kręcenia jakiegoś przedziwnego filmu, filmu snu... Tu by się pewnie bardzo dobrze czuł Bruno Schulz, w tej jednocześnie dzikiej i somnabulicznej przyrodzie. I Hasior, i Jarek Koziara...

Takie oto mi się kłębiły myśli, kiedy godzinami siedziałem na kamieniach wysoko nad Bajkałem w towarzystwie innej wyspy, dużo mniejszej,



Działał tam telefon także takiej jednej dziewczyny, z fioletowymi włosami, z koleżanką i z pieskiem. Ani koleżanka, ani piesek, ani jej fioletowe włosy jakoś nie przypadły mi do gustu, do gustu przypadła mi zaś cała ta zaskakująca sytuacja – bo chyba sobie troszkę przysnąłem i wydawało mi się, że jestem już jedyną istotą na wyspie, która z ukrycia podgląda igraszki, miłosne pieszczoty potwo-

rosną. Rosną i w ziemi, i w wodzie, podczas kiedy ich bracia włączają się w kosmosie, niewyżyte dzieci, aż dojdą do jakiejś wyspy i osiadają.

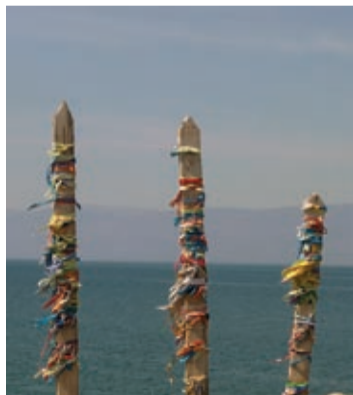
Z ziemi wystają tu i ówdzie drewniane słupy różnej wysokości, omotane kolorowymi szmatkami, rewelacyjnie wpompowane w scenografię Olchonu. Nie wiem, w jaki sposób modlą się wyznawcy szamanizmu... Nie dane było mi tego doświadczyć. Lecz gdyby nawet się pojawili ci ludzie wyspy, nie zakłóciłbym ich spokoju fotografowaniem.

Oczywiście te ślady tutejszych rytów są także dla mnie szalenie interesujące tak samo, jak dziwnie powyręcane drzewa. Niektóre już niby martwe, bo takie suche. Ale one żyją i jeszcze nad ziemią przeistaczają się w starszych braci – w kamienie.

To wszystko jest jedną wielką scenografią, a przecież to nie człowiek spowodował, że drzewa na Olchonie są takie dziwne. Dzwonne tu i teraz, wiecznie.



aczkolwiek z dumnie wystającymi z wody spadzistymi i groźnymi skałami. Jak ciało jakiegoś śpiącego potwora, znudzonego i rozpierzchnego przez tysiące ptaków. Nigdy nie widziałem takiego opasłego cielska wystającego z wielkiej wody i całego w ptakach. Oczywiście mewy przekrzykiwały wszystkie inne ptaki. A te mewy białe i sporawe.



Jeszcze z promu, przewożąc na wyspę ludzi i samochody, sfotografowałem cypel Olchonu – jak tajemniczy okręt przybyszów z innej galaktyki, który setki lat temu utknął był w tej okolicy świata.

Wszystkie moje fotografie pochodzą prawie z tego samego miejsca – z wielkich kamieni, na których wygodnie można sobie posiedzieć, rozwalić się jak w fotelu. Fajne miejsce, bo siedziałem tak sam, taki okopany, a wszystko z górki świetnie widać, jedyne miejsce zresztą, gdzie działał mój telefon.

ra z ptakami. Złazłem więc trochę z tych kamieni i szybciotko złamałem RODO, zrobiwszy pod zachód słońca trzy fotki.

No i obowiązkowo trzeba napisać kilka o tym, co wystaje z ziemi. O kamieniach trochę już było mowy; wszystkie w okolicy obfotografowałem, bo zawsze do kamieni odczuwałem jakiś przedziwny sentyment: są na wieczność samotne, a tylko wtajemniczeni wiedzą o tym, że w tej kosmicznej samotności...

I na koniec – udało mi się sfotografować górzysty zachodni brzeg Bajkału. Ten widok to istna baśń o tworzeniu świata.

Żeby nie zapomnieć – dwa wschody i dwa zachody słońca. Pytałem wyspiarzy – tak, na Olchonie nie ma ani jednego takiego samego wschodu, ani takiego samego zachodu. Może i w mojej okolicy jest tak podobnie, tylko jakoś tego nie potrafię dojrzeć, w takiej krasie jak na Olchonie. Wyspa nauczycielka.



Rowerem na ratunek kościoła w Hodowicy

7 lipca kolumna rowerzystów w asyście wozu policji wyruszyła z pl. Celnego we Lwowie do kościoła Wszystkich Świętych w miejscowości Hodowica. Ponad 100 uczestników pokonało trasę 34 km. Ludzi w różnym wieku i z różnych sfer działalności połączył szczytny cel – zwrócenie uwagi społeczeństwa na żalony stan unikatowego XVIII-wiecznego zabytku autorstwa Bernarda Meretyna, zdobionego rzeźbą w kamieniu Jana Pinsla.

ANNA KORZEWA
tekst i zdjęcia

Rajd rowerowy zorganizowany został przez społeczne organizacje „KontrFors” i „Artstudio Iwony Łoban”. Akcja jest częścią wielkiego, przewidzianego na kilka lat, projektu „Pod gwiazdą Pinsla”, zainicjowanego przez Iwonę Łoban, którego zadaniem jest popularyzacja światowej spuścizny artysty-rzeźbiarza Jana Jerzego Pinsla.

Organizacja „KontrFors” od 2015 roku stara się zwrócić uwagę społeczeństwa na zaniedbane zabytki sakralne na Ziemi Lwowskiej poprzez akcję ich porządkowania i organizację równoległe plenerów malarskich. Od 2017 roku „KontrFors” współpracuje z Wydziałem promocji miasta Rady miasta Lwowa przy realizacji projektu „Duma miasta”. W ramach



historii Liceum sztuki dekoracyjnej i użytkowej im. I. Trusza Anna Korzewa przedstawiła zebranym wykład „Mistrz Pinsel – arcydzieła artysty-zagadki”.

Przedstawiciele lokalnych władz opowiedzieli zebranym o planach budowy tras turystycznych, łączą-



tego projektu w listopadzie 2018 roku na banerach reklamowych w mieście umieszczono plakaty „Mistrz Pinsel”, a w marcu 2018 roku generalny dyrektor Lwowskiej Galerii sztuki im. B. Woźnickiego wystąpił z prelekcją „Propozycje do biografii Pinsla”. Drogi obu inicjatyw połączyły się w akcji ratowania świątyni w Hodowicy.

cych kościoł Wszystkich Świętych z innymi zabytkami w okolicy. Przewodniczący władz wioski Hodowica Wasyl Hmyz zapewnił zebranych o swoim wsparciu dla tego rodzaju akcji, mieszkańcy zaś wioski przedstawili występ swego zespołu ludowego „Wyszywanka”. Ponieważ akcja odbywała się w święto św. Jana (we-

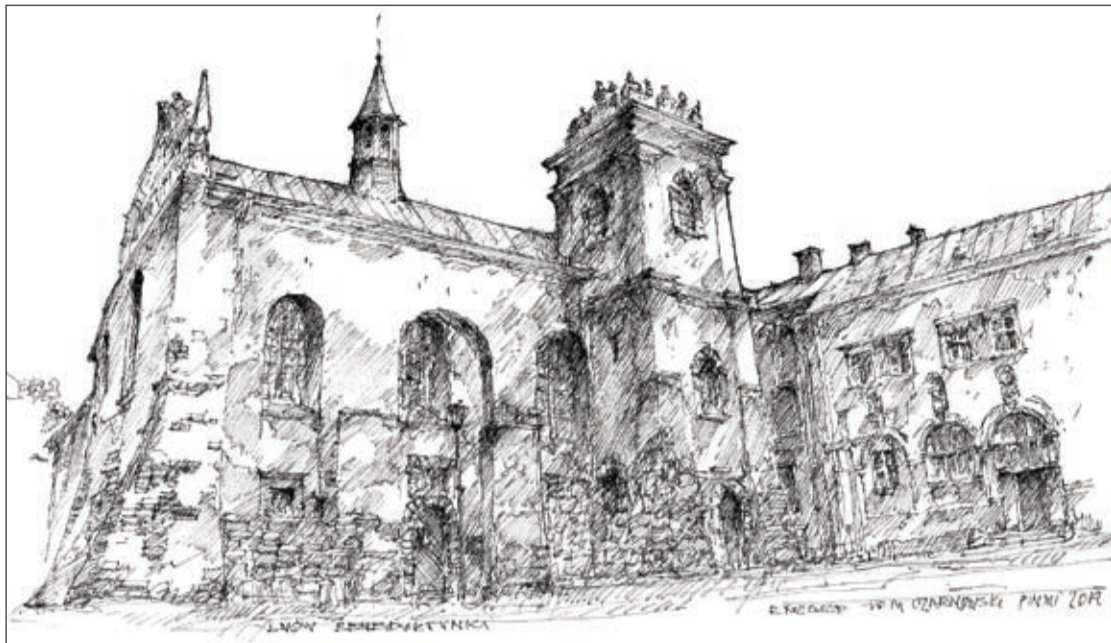


Dla uczestników rajdu rowerowego przygotowano program wypoczynkowy na terenie przykościelnym w Hodowicy. Najpierw kosztowano pizzę z oryginalnych włoskich składników, odświeżającą lemoniadę i aromatyczną kawę przygotowane przez partnera akcji firmę Mama Italiano. Częstowano się wielosmakowymi czekoladkami od Chocoboom. Imprezie towarzyszyły popularne melodie w wykonaniu Oksany Czurchlib i grupy IfSounds ta 3 K BAND. Profesor

dług kalendarza juliańskiego – red.), dziewczęta z wioski i uczestniczki rajdu rzuciły wianki na stawie w pobliżu kościoła. Wianki przygotowała kwaciarnia „Piano”.

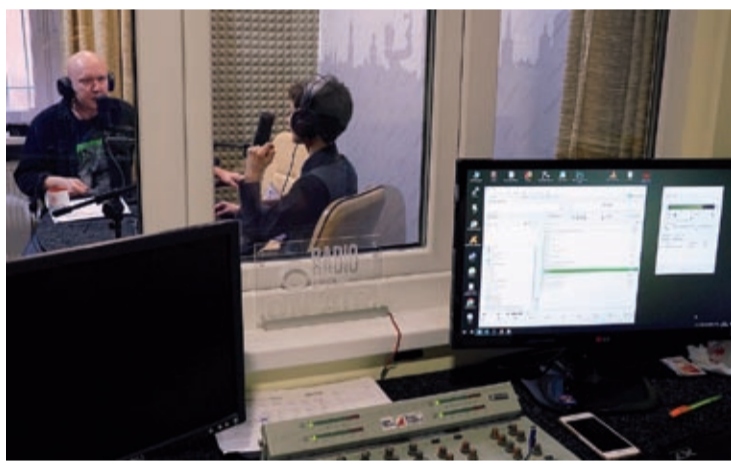
Każdy czyni co może, tak jak może i tam gdzie przebywa. Szczerze wierzymy, że wspólnymi siłami uda się niebawem odnowić kościół w Hodowicy, zapoznać szersze grono ludzi ze wspaniałą twórczością Jana Pinsla i ukazać przykład współpracy w celu ratowania naszego wspólnego dziedzictwa.

Z teki Ryszarda Jana Czarnowskiego



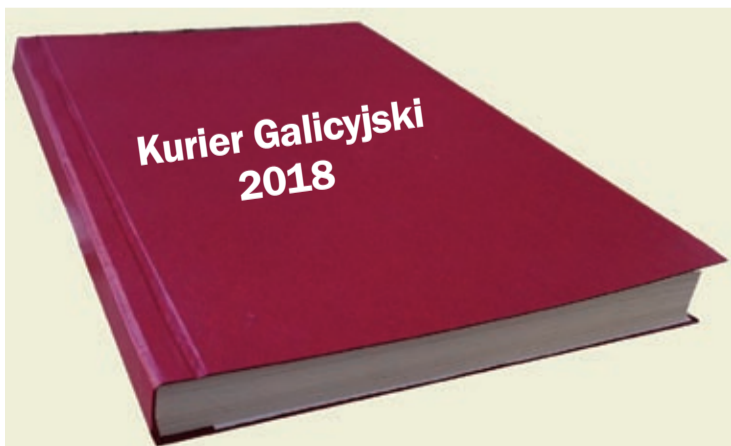
Lwów, klasztor benedyktynek

Radio Kurier Galicyjski nadaje w Radiu Wnet!



Radio Kurier Galicyjski nadaje w środy w Radiu Wnet audycję „Studio Lwów” o godzinie 9:15 (10:15 czasu ukraińskiego). W audycji prezentujemy aktualne wydarzenia we Lwowie i na Ukrainie. Zapraszamy ciekawych gości. Radio Wnet jest dostępne w Warszawie na częstotliwości 87,8 FM i w Krakowie na częstotliwości 95,2 FM. Ponadto Radio wnet można słuchać na stronie: [Wnet.fm](https://wnet.fm) (link do playera: <https://wnet.fm/wp-content/themes/wnet/player.php>). Przy okazji informujemy, że w czwartki o tej samej godzinie jest nadawane Studio Wilno.

Roczniki Kuriera Galicyjskiego i Polaka Małego są do nabycia w naszej redakcji



Zawiadamiamy, że w redakcji są do nabycia kompletne oprawione roczniki Kuriera Galicyjskiego z lat 2007-2018, a również roczniki Polaka Małego z lat 2012-2018. Cena roczników na Ukrainie po 350 UAH za jeden oraz koszty wysyłki, a z wysyłką do Polski – 130 PLN.

Osoby zainteresowane prosimy o kontakt: **Natalia Kostyk**, tel.: +38 /0342/ 54 34 61 e-mail: nataliakostyk@wp.pl

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY

УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej

1 miesiąc – 18,00 UAH

3 miesiące – 48,00 UAH

6 miesięcy – 96,00 UAH

12 miesięcy – 192,00 UAH

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel.: +48 (016) 678 73 33; **w Przemyślu w KAWIARENCE POD SEMAFOROM**, ul. Mickiewicza, (d. rampa PKP), **w Warszawie, w Biurze Turystyki KALINKA**, ul. Marszałkowska 115 (wejście od ul. Przechodniej), 00-102 Warszawa. Biuro jest czynne pn-pt w godz. 10:00-17:00.

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”. Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” w Drohobyczu, Truskawcu, Boryslawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” ul. Ruska 16 we Lwowie;
- w polskiej restauracji „Kupoł”, ul. Czajkowskiego 37 we Lwowie;
- w restauracji Mons Pius, ul. Łesi Ukrainki 14 we Lwowie;
- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.

Miesięcznik Polak Mały można zaprenumerować na poczcie na Ukrainie!!!

KOD

PRENUMERATY

УКРПОШТА

68416

Cena prenumeraty pocztowej:

1 miesiąc 9,00 UAH

3 miesiące 27,00 UAH

6 miesięcy 54,00 UAH

12 miesięcy 108,00 UAH



Partnerzy medialni

